M.B. Fot. Fotogr.

W numerze: KAROL BADZIAK ***Słodkie życie elity diabelskiego grodu*** ● ***Jeszcze raz o szkłach kontaktowych*** ● BOLESŁAW KONORSKI ***Granice krytyki*** ● ROMAN SZYDŁOWSKI ***Dlaczego Brecht?*** ● ***Wakacyjny konkurs*** ● ***Wokół „Beczki miodu..."*** ● ANTONI SZRAM ***Czy są zabytki w Łodzi?*** ● ***Nowela kryminalna***

odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

29 (713)
18. VII. 1971 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

Fot. W. Parys

KONRAD FREJDLICH

Kłopoty z wiosną

Publicystyka jest domeną ludzi nieuprzejmych, a nawet, jak przypuszczam, im mniejsze zalety towarzyskie piszącego, tym większa bywa społeczna nośność artykułu czy reportażu. Nic bowiem nie czyni publikacji bardziej skuteczną niż mówienie prawdy, choćby to była nawet prawda niepopularna, bo rozwiewająca szlachetne złudzenia.

Wyjaśniam to na samym wstępie, gdyż postanowiłem przeciwstawić się opinii (opinii wyraźnie samouspokajającej) wyrażonej w powielonym druku pod nazwą „Program i organizacja III Łódzkiej Wiosny Artystycznej".

W dokumencie tym czytamy: „Dotychczasowe, dwuletnie doświadczenia wykazały, że inicjatywa organizowania w naszym mieście dorocznego **przeglądu dorobku środowisk twórczych i amatorskiego ruchu artystycznego** (podkreślenie moje — K. F.) zwana Łódzką Wiosną Artystyczną zdobyła sobie powszechne uznanie zarówno środowisk twórczych, jak i społeczeństwa, jako przedsięwzięcie posiadające duże wartości ogólnospołeczne".

Do trzech razy sztuka, chciałoby się zawołać po tej optymistycznej lekturze, gdyż jednocześnie mamy właśnie za sobą III Wiosnę i odpowiednio większe na tym polu doświadczenie. Doświadczenie pozwalające stwierdzić, że organizacyjnie (z wyjątkiem może wspomnianej już konferencji prasowej) inicjatywa ta wyraźnie okrzepła, choć jest to wciąż „krzepa dla krzepy", że sparafrazuję pewne, modne swego czasu findesiecle'owe powiedzonko. Mówię to zresztą bez przekąsu, w nastroju nieco elegijnym, gdyż żal mi po prostu wysiłku dziewięcioosobowego komitetu organizacyjnego, złożonego z ludzi poważnych i odpowiedzialnych, którzy się nad ułożeniem programu III Wiosny niemało napracowali, o czym świadczy zarówno sama ilość imprez zgłoszonych do przeglądu, jak też dokonana przez komitet gradacja ich ważności. Może więc przysłowiowy pies leży pogrzebany w samej idei Wiosny?

Zacznijmy od tego, że to, co podczas tego tygodnia pre-

Dalszy ciąg na str. 8

ANDRZEJ F. GRABSKI

POLSKIE LEKTURY MARKSA I ENGELSA

Pierwsze historyczne lektury Fryderyka Engelsa dotyczące spraw polskich pochodzą jeszcze z końca lat trzydziestych XIX w. i wiążą się z tą falą życzliwości dla Polaków, jaka przeszła przez społeczeństwo niemieckie po upadku powstania listopadowego. W 1839 r. zapoznał się on z opublikowaną niedawno po niemiecku pracą „Historia powstania polskiego 1830-1831" pióra Fryderyka Smitta. Uznał ją za dzieło szowinistyczne, „napisane bez wątpienia z polecenia króla pruskiego". Była to niewątpliwie publikacja niezmiernie tendencyjna, jednakże jej inspiratorem nie były w rzeczywistości władze pruskie, lecz rosyjskie. Autor, bałtycki Niemiec w służbie rosyjskiej, w oparciu o carskie archiwum udostępnione mu przez Mikołaja I napisał kilka prac, w których rozwijał i prezentował na użytek zagranicy oficjalne poglądy władz rosyjskich na sprawy polskie. Jego to książce przeciwstawił wówczas Engels „wspaniałą" — jak pisał — historię powstania listopadowego pióra hr. Sołtyka. Chodziło o dzieło p.t.: „La Pologne, précis historique, politique et militaire de la révolution", wydane w dwóch tomach w Paryżu w 1835 r, którego autorem był bliski współpracownik polityczny Lelewela, działacz demokratyczny Roman Sołtyk. Praca ta była również tłumaczona na niemiecki.

Wzrost zainteresowania sprawami polskimi był jednak zarówno dla Engelsa, jak i Karola Marksa sprawą nieco późniejszą. Pierwsza jego faza przypada na lata 1846-1849 i wiąże się z rolą Polski i Polaków we współczesnych wydarzeniach oraz kontaktami z polską lewicą emigracyjną. Najwymowniejszym przejawem owego żywego podówczas zainteresowania Marksa i Engelsa problemami naszego kraju jest ich publicystyka na łamach „Neue Rheinische Zeitung". Potrzeby politycznej polemiki — zwłaszcza z liberalnym posłem do frankfurckiego parlamentu, wrocławskim historykiem Gustawem Adolfem Stenzlem i przyszłym twórcą t.zw. pruskiej szkoły historycznej niemieckiego dziejopisarstwa Heinrichem Syblem, którzy bronili polityki Prus w stosunku do Polaków i spoglądali na rozbiór dawnej Rzeczypospolitej z punktu widzenia interesów państwa pruskiego — skierowały wówczas Marksa i Engelsa do szukania kontrargumentów politycznych w historii. Zapoznali się więc oni nie tylko z publikacjami i oświadczeniami swoich antagonistów, ale sięgnęli do piśmiennictwa polskiego, mianowicie do prac Joachima Lelewela i Ludwika Mierosławskiego. Z tego to okresu pochodzą notaty Marksa z lelewelowskiej „Histoire de Pologne" (1844), wprawdzie tylko z pierwszego tomu dzieła; lektura tomu drugiego, zawierającego podstawowej wagi teksty „Panowanie Stanisława Augusta Poniatowskiego" oraz najdojrzalszą, demokratyczną syntezę społecznej historii Polski — „Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej" — przypadnie, jak można wnioskować z listu Marksa do Engelsa z 2 grudnia 1856 r., dopiero na lata późniejsze. Nazwisko Lelewela pojawia się od 1848 r. stosunkowo często na kartach pism Marksa i Engelsa; mowa o nim niejednokrotnie jako o wybitnym demokratycznym działaczu politycznym, a także jako o historyku. Ślady lektury dzieła polskiego uczonego są odtąd coraz bardziej widoczne w wypowiedziach — zwłaszcza Marksa — o historii Polski. Drugim autorem, do którego sięgnęli Marks i Engels w poszukiwaniu wiadomości o przeszłości i teraźniejszości polskiej, był Mierosławski. W artykule o debacie polskiej we Frankfurcie, opublikowanym 22 sierpnia 1848 r. Engels prócz lelewelowskiej francuskiej „Historii Polski" wspominał świeżo wydane dziełko Mierosławskiego p.t.: „Débat entre la révolution et contre-révolution en Pologne" (Lipsk 1847), utwór napisany w więzieniu moabickim w odpowiedzi na broszurę Aleksandra Wielopolskiego z 1846 r., namiętny pamflet demokraty będący jego odzewem na „oszczerstwa arystokracji polskiej rzucone na demokrację w związku z wydarzeniami 1846 r." Później (1852) w korespondencji Engelsa pojawia się inna praca Mierosławskiego, mianowicie „Kritische Darstellung des Feldzuges vom Jahre 1831 und hieraus abgeleitete Regeln für Nationalkriege" (Berlin 1847), przypomniany został także znany już wcześniej Smitt, zaś dnia 16 października 1856 r. Marks przesyłał swemu przyjacielowi wyciągi z Mierosławskiego „De la nationalité polonaise dans l'équilibre européen" (Paris 1856). Jednakowoż pierwotne zachwyty Marksa i Engelsa nad Mierosławskim ustąpiły teraz miejsca krytycyzmowi. Takie właśnie krytyczne akcenty — zaostrzone wobec wyraźnego bonapartyzmu polskiego generała — znalazły się we wspomnianym liście Marksa. Podkreślał on w nim, że Mierosławski „rewolucję socjalną w Polsce zdecydowanie wysuwa jako podstawowy warunek rewolucji politycznej; usiłuje jednak przez dedukcję historyczną, dowodzącą czegoś wręcz przeciwnego wykazać, że właściwą drogą jest przywrócenie starej wspólnoty agrarnej". Dalsze uwagi krytyczne pod adresem poglądów Mierosławskiego przekazał Marks En-

Dalszy ciąg na str. 3

ŚWIATA

W Helsinkach trwa NOWA RUNDA rozmów radziecko-amerykańskich NA TEMAT OGRANICZENIA ZBROJEŃ STRATEGICZNYCH. Jest to runda piąta i — jak się przypuszcza — decydująca. Przypuszczenie to wynika z omawianego przez nas swego czasu dwustronnego porozumienia o doprowadzeniu jeszcze w bieżącym roku do zahamowania rozbudowy systemu rakiet defensywnych.

Przypomnijmy, że rozmowy SALT rozpoczęły się w listopadzie 1969 roku. Występowały w nich duże rozbieżności w stanowiskach obu stron i w ciągu 18 miesięcy znajdowały się właściwie w impasie. Dopiero 20 maja br. oba rządy oznajmiły, iż w kolejnych rozmowach ich przedstawiciele „skoncentrują się na opracowaniu porozumienia w sprawie ograniczenia systemów pocisków antybalistycznych", równocześnie podejmując kwestię ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych.

Toczące się obecnie rokowania w Helsinkach (a właśnie odbyło się 70 spotkanie negocjatorów), z pewnością wykażą, jaki jest praktyczny sens tej deklaracji. Jedno wszakże wydaje się pewne — problemy, dla których obecnie trudno znaleźć rozwiązanie, omawiane będą w okresie późniejszym. Takie postanowienie ZSRR i USA podyktowane jest gotowością podjęcia najpilniejszych zagadnień, ale zarazem takich, co do których rysują się szanse porozumienia. To właśnie upoważnia do optymizmu, który przewija się niemal przez wszystkie komentarze prasy światowej.

Mniej szeroko, ale także z dużą nadzieją komentuje się PRZEBIEG CZTEROMOCARSTWOWYCH ROKOWAŃ BERLIŃSKICH. W ub. tygodniu odbyła się 23 runda tych rozmów, a w bieżącym ma dojść do kolejnego spotkania. Rozmowy czterech ambasadorów trwały w ub. tygodniu aż 6 i pół godziny i były najdłuższe z dotychczasowych. Już to zwróciło uwagę obserwatorów. Reszty dopełniły oświadczenia ambasadorów. Radziecki powiedział dziennikarzom, iż to „co trwa długo jest dobre", francuski mówił o „dobrym dniu", amerykański — o „konstruktywnych i produktywnych obradach". Czyżby więc osiągnięto wyraźny postęp?

Jak wiadomo, przebieg rozmów osłonięty jest tajemnicą — trudno więc o konkretną odpowiedź. Przypuszcza się, że zakończono „pierwsze czytanie" projektu porozumienia i że przed ekspertami, którzy zbierać się mają teraz częściej, postawiono trudne zadanie zredagowania preambuły i oświadczenia końcowego. Jeśli te domniemania są prawdziwe — oznaczałoby to wejście rokowań w nową, konkretną fazę.

Jako, że do trzech razy sztuka — zatrzymajmy jeszcze uwagę czytelników na ROKOWANIACH PARYSKICH. 120 posiedzenie przebiegło pod znakiem pokojowych propozycji Tymczasowego Rządu Republiki Wietnamu Południowego, o których pisaliśmy w ub. tygodniu. Delegaci amerykański i sajgoński domagali się pierwszych wyjaśnień. Zapowiedzieli, że kolejne posiedzenie będzie miało charakter poufny. Na nim szczegółowo przedyskutuje się zgłoszone propozycje. Pani Binh podkreśliła, że TRR uważa swą propozycję za jedynie możliwą platformę pokojowego rozwiązania konfliktu i oczekuje na odpowiedź amerykańską.

Rokowania w Helsinkach, Berlinie i Paryżu nie wyczerpują listy toczących się aktualnie negocjacji. Mimo letniej pory obraduje KONFERENCJA ROZBROJENIOWA 25 PAŃSTW W GENEWIE, która właśnie dyskutowała radziecką propozycję spotkania przedstawicieli pięciu mocarstw nuklearnych. Wakacje są więc bardzo pracowite. Potwierdzają to zresztą także: wizyta prezydenta Pompidou w Bonn oraz ministra Manescu w Warszawie.

W końcowej części przeglądu aktualiów międzynarodowych nie będziemy jednak nawiązywać do tych wizyt, lecz małej agencyjnej informacji, z której wynika, że U THANT NIEODWOŁALNIE pod koniec bieżącego roku USTĄPI ZE STANOWISKA sekretarza generalnego ONZ. Oświadczenie to złożył U Thant po powrocie z kuracji, konieczność odbycia której uniemożliwiła mu podróż do kilku krajów, a w ich liczbie i do Polski. Tak więc na porządku dnia staje sprawa sukcesji — wyboru nowego sekretarza. Będzie to problem wielce skomplikowany. Spośród bowiem dotychczas wymienianych ewentualnych kandydatów: Jakobsona — przedstawiciela Finlandii w ONZ, Amerasinghe'a — przedstawiciela Cejlonu w tej organizacji i Waldheima — b. austriackiego ministra spraw zagranicznych — żaden nie znajdzie z pewnością pełnego poparcia. Zgłoszono już pod ich adresem wiele zastrzeżeń w grupach regionalnych.

Kto więc będzie czwartym w kolejności sekretarzem generalnym ONZ? O odpowiedź na to pytanie stoczy się niejedna batalia polityczna. I w Radzie Bezpieczeństwa, gdzie kandydatura musi uzyskać akceptację pięciu stałych członków, i w większych ugrupowaniach regionalnych, i w Zgromadzeniu Ogólnym.

Powszechnie sądzono, że U Thant pozostanie i na pewien czas uda się uniknąć tego drażliwego problemu. Teraz zagadnienie staje z całą mocą.

W. SŁAWSKI

Zewsząd o wszystkim

Ostatnia powieść Remarque'a

„WELT DER ARBEIT" — KOLONIA

Ostatnią noc w willi pod Askoną, nabytej w 1933 roku za honorarium za znakomitą powieść antywojenną „Na Zachodzie bez zmian", śmiertelnie chory pisarz, Erich Maria Remarque, spędził nad korektą rękopisu powieści, która niedawno, w rok po jego śmierci, ukazała się w druku.

Wdowa po pisarzu, Paulette Remarque-Goddard, przyjechała ze Szwajcarii do Niemiec Zachodnich, aby scedować prawo na publikację powieści w monachijskim wydawnictwie „Dreumer-Verlag". Rękopis powieści, przekazano na przechowanie w miejskiej bibliotece w Osnabrück, w mieście, w którym urodził się pisarz.

— Nie wiedziałam, że po napisaniu „Nocy w Lizbonie" Remarque zaczął pracować nad nową książką — mówi wdowa po pisarzu. — Nigdy nawet nie wspomniał o tym zamierzeniu. Pierwszy rozdział napisał najwidoczniej w Nowym Jorku, drugi — w Rzymie. Trzymanie w tajemnicy przed bliskimi i przyjaciółmi, aż do ostatniej chwili, zamierzeń twórczych, i już napisanych utworów, było charakterystycznym rysem jego charakteru".

Erich Maria Remarque, którego antymilitarystyczne i antyfaszystowskie książki: „Na Zachodzie bez zmian" i „Droga powrotna", napisane w 1933 roku, zostały publicznie spalone, nigdy nie zapomniał lat nazistowskiego barbarzyństwa.

Stale powracał do tego okresu, stale pisał o wojnie, masowych morderstwach, obozach koncentracyjnych, losie wydziedziczonych. Na Festiwalu Berlińskim w 1956 roku, z gorącym przyjęciem spotkała się jego sztuka „Ostatni postój", której akcja toczy się w dniach agonii Trzeciej Rzeszy. Remarque powiedział wówczas, iż chciał w niej „pokazać młodym, niewinnym Niemcom, którzy pragną zdjąć winę ze swoich ojców, jak to wszystko było naprawdę".

Remarque miał wiele wspólnego z Hemingwayem. Urodzili się w tym samym roku i otrzymali takie samo, anglosaskie wychowanie. Ale przede wszystkim łączyło ich wielkie umiłowanie życia.

Nowa powieść Remarque'a — to surowe, a miejscami koszmarne losy emigrantów w kraju „nieograniczonych możliwości". Bohater utworu, niemiecki dziennikarz, ucieka od nazistowskich prześladowców i osiada w Nowym Jorku. Jest zmuszony podjąć jakąkolwiek pracę. Po ciężkich doświadczeniach, udaje mu się urządzić w Hollywood, gdzie traktują go jako „specjalistę w zakresie umundurowania SS". Spada do kategorii ludzi „bez pochodzenia, bez narodowości", których „nie lubią, ale toleruja". W ten sposób staje się emigrantem w emigracji. „Raj", który miał nadzieję znaleźć w Ameryce, okazuje się pospolitym domem noclegowym, w którym pozwolono mu przenocować, gdzie patrzą na niego, jak na niepożądanego świadka.

— Remarque pracował nad powieścią „Cienie raju" do ostatnich dni swego życia — mówi literat Felix Huggenheim, który sprawuje pieczę nad prawami autorskimi zmarłego pisarza. Po jego śmierci znaleźliśmy sześć wariantów powieści; postanowiliśmy opublikować ostatni. Dokonano już przekładu na język angielski. Remarque w dużym trudzie tworzył swe książki. W ciągu czterdziestu lat od ukazania się jego pierwszego utworu „Na Zachodzie bez zmian", napisał dziesięć powieści. Nie oznacza to, iżby każdą z nich pisał około czterech lat. Większa część czasu poświecał na szlifowanie dzieła, nadanie mu blasku, usunięcie chropowatości".

Remarque'owi obcy był ckliwy sentymentalizm. „Nie ma powieści bez miłości — mówi Paulette Goddard — ale i tym razem intryga miłosna pozbawiona jest jakiejkolwiek ckliwości. Miłość powracającego do kraju Rossa pozostaje bez wzajemności — oto cena, którą musi zapłacić za to, że wygrał życie".

Remarque pisał swoje powieści wyłącznie po niemiecku. Mógł myśleć tylko w ojczystym języku. Nienawiść do dyktatury Trzeciej Rzeszy przewijała się czerwoną nicią przez całe jego życie. Kochał swój kraj, ale gdy w 1950 roku, podczas wizyty w zachodnich Niemczech, zaproponowano mu, by „podjął oficjalne starania o powrót do ojczyzny" — nie zgodził się na to. Odmówił, gdyż uważał, że został bezprawnie wygnany z kraju.

Rehabilitacja Neandertalczyka

„BULLETIN" — SYDNEY

Od czasu, gdy prawie sto lat temu, w dolinie Neandertal, w Niemczech, odnaleziono szczątki kopalnego człowieka, nazwa „neandertalczyk" stała się symbolem „zwierzopodobnej" istoty, barczystej, przysadzistej, na przygiętych nogach i uzbrojonej w maczugę. Wprawdzie uczeni powątpiewali w prawdziwość tej popularnej prezentacji człowieka neandertalskiego. Ale dopiero teraz mają dowody, które rehabilitują neandertalczyka w oczach ludzkiej społeczności i nadają mu bardziej ujmujący kształt, jako przodkowi współczesnego człowieka.

Wykopaliska archeologiczne w Europie pozwalają przypuszczać, iż neandertalczycy byli dobrymi myśliwymi, umieli sporządzać broń i grzebali swych zmarłych zgodnie z rytuałem, który wskazuje na elementy wiary w życie pozagrobowe. Ponadto uczeni zdobyli dowody, które pozwalają na domysł, iż istniał wśród neandertalczyków prymitywny system „opieki społecznej" w okresie starości i chorób.

Najświeższe odkrycia paleontologów stwarzają podstawy do przypuszczeń, iż skrzywiony kręgosłup pierwszego — z odnalezionych — szkieletu człowieka neandertalskiego jest przypadkiem i raczej konsekwencją jakiejś choroby. Wynika z tego, iż wizerunek naszych przodków, jako istot pochylonych ku ziemi, stojących na niższym poziomie rozwoju ewolucyjnego, jest mylny. Według najnowszej teorii, neandertalczyk cierpiał najprawdopodobniej na chorobę, którą nazwalibyśmy dziś awitaminoza. Zwłaszcza cierpiał na brak witaminy D, co powoduje skrzywienie kręgosłupa (awitaminoza występowała z reguły z niedostatku promieni słonecznych w warunkach życia jaskiniowego).

Najbardziej pełny obraz życia neandertalczyka odtworzono na podstawie wykopalisk w rejonie wsi Szanidan na terytorium Irańskiego Kurdystanu. Paleontolodzy znaleźli tam w kilku grobach szczątki kwiatów i innych roślin. Odkopano również grób mężczyzny, w wieku około 40 lat, który urodził się ze sparaliżowaną ręką. Przypuszcza się, iż została ona amputowana przez neandertalskiego „chirurga". Wiek tego człowieka i jego kalectwo świadczą, że nie mógł on sam zdobywać sobie pożywienia. Można więc sądzić, że pomagali mu w tym współplemieńcy aż do momentu, gdy zginął w jaskini, zmiażdżony zwałami kamieni. W ten sposób zresztą ponosili najczęściej śmierć mieszkańcy jaskiń. Obrządek pogrzebowy był bardzo złożony. Przypuszczenie to potwierdza znalezisko w Libanie z ubiegłego lata. Oto w jednym z grobów odkryto kości jelenia. Były one ułożone w ustalonym porządku i pomalowane ochrą, której używali neandertalczycy do celów rytualnych. Uczeni sądzą, iż kości jelenia odgrywały ważna rolę w rytuale zaklęć myśliwskich. Innymi słowy, już wtedy praktykowali oni prymitywne formy obrządków religijnych.

Jak to się stało, że człowiek neandertalski, istota wysoko rozwinięta, stojąca na dostatecznym poziomie ewolucji, miał dotad aż tak niegodną reputację? Przede wszystkim dlatego, że akurat w tym czasie, kiedy odnaleziono jego szczątki, Darwin poraził wyobraźnię współczesnych twierdzeniem, iż człowiek i małpa pochodzą od wpólnego przodka. Poza tym obraz neandertalczyka ukształtował się również, w znacznej mierze, pod wpływem francuskiego paleontologa Pierre Boule'a, który po raz pierwszy nakreślił portret naszego przodka jako istoty o płaskim czole, z wypukłymi łukami brwiowymi, o przygarbionych plecach i z rękami długimi aż do ziemi. Taki właśnie wzorzec człowieka z doliny Neandertalu zapładniał wyobraźnię artystów i popularyzatorów nauki.

Kształt nowej Europy

„DRAPEAU ROUGE" — BRUKSELA

Jest zupełnie oczywiste, że obecnie, we wszystkich krajach naszego kontynentu działają siły, które dążą do stworzenia bezpiecznej Europy, Europy odbudowanej i nie rozdartej na antagonistyczne bloki. Taka Europa mogłaby zjednoczyć leżące w niej kraje zarówno Wschodu jak i Zachodu. Ta przyszła Europa zaczyna przybierać pierwsze kontury z zadziwiającą szybkością.

Oczywiście nie zapominamy o istniejących trudnościach. Są one niemałe.

Przeszkodą numer jeden jest panowanie Stanów Zjednoczonych w zachodniej Europie oraz wojskowy sojusz północnoatlantycki, będący konkretnym przejawem tego panowania i dzielący świat na rywalizujące z sobą bloki.

NATO istnieje już ponad dwadzieścia lat, a jego przeszłość obfituje w międzynarodowe kryzysy i konflikty, ponieważ od pierwszych dni istnienia Paktu Północnoatlantyckiego stał się on głównym powodem zaostrzenia napięć w Europie. Zasadniczym założeniem działalności NATO był, i jest nadal, wyścig zbrojeń. W latach 1949—1969 wydatki wojskowe tego bloku zwiększyły się ponad pięciokrotnie i osiągnęły w 1970 roku sumę 103 miliardów dolarów. Na ostatniej, grudniowej sesji Rady NATO w Brukseli podjęto decyzję o zwiększeniu wydatków wojskowych krajów zachodnioeuropejskich jeszcze o miliard dolarów w najbliższym 5-leciu.

Wojskowa organizacja Paktu Północnoatlantyckiego podtrzymuje wszelkimi sposobami reżimy reakcyjne w krajach zachodniej Europy. Przy bezpośrednim udziale NATO urzeczywistniono plan pn. „Prometeusz", który oddał władzę w Grecji wojskowo-faszystowskiej juncie. Analogiczny plan opracowano dla Włoch, jednakże zjednoczone siły antyfaszystowskie zdławiły w zarodku szykujący się tam reakcyjny przewrót. NATO okazuje pomoc wojskową Portugalii, prowadzącej wojnę kolonialną.

Jednakże kurs na polityczną i wojskową integrację krajów członkowskich NATO, włącznie z integracją broni jądrowej, nie zmienił na korzyść NATO stosunku sił w Europie i, tym bardziej, nie może powstrzymać ogólnego dążenia do rozładowania i współpracy między Wschodem i Zachodem.

Jeszcze jedną poważną przeszkodą na drodze do rozładowania napięcia w Europie jest dążenie Pentagonu do użycia NRF jako głównej siły, która podtrzyma na europejskim kontynencie stan napięcia i „zimnej wojny".

Stało się już oczywiste dla wszystkich, iż amerykańska osłona atomowa nie chroni nas od niebezpieczeństwa jądrowego. Jest oczywiste również — i wskazuje na to przykład Grecji — że amerykańska osłona atomowa nie gwarantuje też demokracji.

Na koniec trzeba podkreślić, i to także jest oczywiste, iż nasze wiernopoddańcze uczucia wobec NATO w zakresie planu ekonomicznego stanowią dla nas poważne niebezpieczeństwo. Dobrze znany ekonomista burżuazyjny, prof. Baudoin, pisze czarno na białym, iż kraje Europy zachodniej zmęczyły się już finansowaniem „amerykańskiej polityki, w którą nie wierzą i która rodzi inflację wywołującą wstrząsy na całym świecie".

Zewsząd o wszystkim

KRZYSZTOF W. DĘBICKI

Spójrzmy na nie inaczej

POMIMO tego, iż w okresie powojennym Polska stała się państwem morskim z prawdziwego zdarzenia — dla większości z nas morze wciąż jeszcze stanowi jedynie atrakcję urlopową, kojarząc się najczęściej ze słońcem i plażą, a w najlepszym wypadku ze spacerowym rejsem po zatoce.

Spróbujmy zatem dziś, z okazji obchodzonych niedawno Dni Morza, które tradycyjnie już uważane są za święto wszystkich ludzi związanych z morzem — spojrzeć na nie nieco inaczej; jak na poważną dziedzinę gospodarki narodowej, przynoszącej nam nie tylko dobre imię na całym świecie, ale również konkretne korzyści materialne.

Podobnie jak wiele innych dziedzin naszego życia, gospodarka morska przechodzi aktualnie szereg istotnych przemian zapoczątkowanych przez VII i VIII Plenum KC PZPR i zmierzających do zajęcia przez nią jeszcze bardziej poczesnego miejsca w całokształcie gospodarki narodowej. Dla osiągnięcia tego celu nieodzownym stało się udoskonalenie wszelkich dotychczasowych form organizacyjnych oraz wprowadzenie ścisłej koordynacji z pozostałymi dziedzinami gospodarczymi kraju. Tylko wtedy może bowiem być mowa o pełnej rytmiczności rozwoju i konsekwentnej realizacji ustalonego programu.

Stąd też konieczność głębokich i rzetelnych studiów i analiz ekonomicznych z góry określających kierunki działalności wszystkich zainteresowanych resortów i władz terenowych.

KOLEKTYWNOŚĆ PLANOWANIA

PODSTAWĄ dla tych poczynań są powołane z inicjatywy wicepremiera Jana Mitręgi stałe zespoły problemowe, w skład których wchodzą przedstawiciele poszczególnych resortów i zjednoczeń oraz najwybitniejsi eksperci naukowi.

O wadze problemów, jakie muszą rozwiązać niektóre zespoły niech powie przykład stałego zespołu do spraw rozwoju floty handlowej i rybackiej, któremu przewodniczy minister żeglugi Jerzy Szopa. Otóż zadaniem tego zespołu jest m. innymi harmonizowanie przedsięwzięć podejmowanych dla unowocześnienia floty handlowej i rybackiej z rozwojem zaplecza lądowego, a więc transportu, magazynowania, handlu i tranzytu, przy jednoczesnym opracowaniu najefektywniejszych metod wykorzystania zdolności przewozowej statków handlowych, i połowowej — jednostek rybołówczych.

Inne powołane do życia zespoły rozpracowują zagadnienie mechanizacji portów i stoczni remontowych, zajmują się perspektywami rozwoju żeglugi promowej, udoskonaleniem metod zarządzania i organizacji w całym resorcie etc., etc.

WZROST FLOTY I CO SIĘ Z TYM WIĄŻE

SZCZEGÓLNE korzyści wynikające dla gospodarki narodowej z rozwoju floty handlowej nie są trudne do obliczenia. Pod względem konkurencyjności na rynkach światowych, w usługach żeglugowych możemy bowiem znacznie łatwiej dotrzymać kroku, aniżeli np. w eksporcie niektórych towarów przemysłowych. Zakup i budowa nowych statków pozwala więc na zwiększenie eksportu usług żeglugowych, zmniejszając jednocześnie koszty transportu polskiego handlu zagranicznego i spełniając w ten sposób poważną funkcję antyimportową.

Korzystając z okazji przypomnijmy sobie, że na początku bieżącego roku polska flota handlowa składała się z 259 statków, których łączna nośność przekraczała 1 900 000 ton, i która przewiozła w 1970 roku ponad 17 mln ton towarów, co stanowiło 44,2 proc. ogólnej masy towarowej naszego handlu zagranicznego.

Pomimo tych dość imponujących wyników stanowiących w porównaniu z rokiem 1960 wzrost przewozu towarów polskiego handlu zagranicznego o przeszło 20 procent, nie zdołaliśmy w ub. roku osiągnąć przewidzianego 53-procentowego udziału własnej floty w przewozach towarowych handlu zagranicznego. Stało się to na skutek zbyt powolnej rozbudowy floty handlowej, nie nadążającej za utrzymującym się wzrostem obrotów towarowych drogą morską.

Pragnąc naprawić to niedociągnięcie resort żeglugi zaplanował na najbliższe 5 lat wzrost floty o 99 jednostek o łącznej nośności 1,8 mln ton, przez co tonaż floty pełnomorskiej powinien w 1975 roku przekroczyć 3,5 mln ton, zapewniając obsługę przewozową naszego handlu zagranicznego w 60 procentach.

O NOWOCZESNĄ BAZĘ

TAK poważny rozwój floty handlowej i związany z nim wzrost przewozów morskich nie może rzecz jasna obyć się bez nowoczesnych i należycie przygotowanych do swej roli portów. Przygotowanie zdolności przeładunkowej w portach powinno zatem wyprzedzić istniejące w tym zakresie zapotrzebowanie. Najpilniejsze inwestycje wynikające z aktualnych w transporcie morskim potrzeb zostały już podjęte w ubiegłym roku. Specjalizacja tonażu okrętowego, rosnąca bezustannie wielkość statków, konieczność skracania czasu postoju w portach — stwarzają konieczność organizowania wyspecjalizowanych baz portowych wyposażonych w nowoczesne, szybko pracujące urządzenia przeładunkowe.

Taką właśnie bazą będzie m. innymi budowany obecnie w Gdańsku Port Północny przeznaczony dla największych kolosów, jakie mogą wpłynąć na Bałtyk. Razem z rozbudową bazy węglowej w Świnoujściu, ukończoną już bazą siarkową w Gdańsku i budowaną bazą kontenerową w Gdyni — są to inwestycje odpowiadające najbardziej palącym potrzebom chwili.

Jak wielkie znaczenie w ogólnym obrocie towarowym naszego handlu zagranicznego posiadają porty morskie niech świadczy fakt, że aktualnie przechodzi przez nie jedna trzecia towarów importowanych i eksportowanych. W roku ubiegłym przewinęło się przez nie ponad 36 mln ton. Natomiast w 1975 roku porty polskie przeładują już około 44,7 mln ton czyli o 30 proc. więcej, przy czym tendencja wzrostowa będzie się utrzymywała nadal.

RYBY NA KAŻDYM STOLE

ZUPEŁNIE odrębną gałąź gospodarki morskiej stanowi u nas, a także we wszystkich rozwiniętych krajach morskich, rybołówstwo. Przez całą poprzednią pięciolatkę podstawowym celem naszej gospodarki rybnej było zwiększenie połowów morskich i uzupełnienie w ten sposób występujących na rynku niedoborów białka zwierzęcego, którego produkcja jest zresztą znacznie droższa od produkcji białka pochodzącego z ryb. W roku ubiegłym flotylle rybackie złowiły ponad 451 tys. ton ryb, przekraczając tym samym plan połowów o ca 5 proc. Uzyskane wyniki byłyby znacznie wyższe gdyby nie pewne trudności z dostawą dla rybołówstwa nowych jednostek.

W związku z tym jednym z głównych zadań naszej gospodarki rybnej stało się obecnie możliwie najbardziej intensywne wykorzystanie istniejącego taboru połowowego.

Rezultatem tych zabiegów ma być złowienie w 1975 roku 580 tys. ton ryb, przez co spożycie ryb na głowę mieszkańca Polski wzrośnie z 5,8 kg w roku 1970 do ponad 7 kg w końcu bieżącej pięciolatki.

* ☆ *

JUŻ tak olbrzymi i nie wyczerpujący całości zagadnień związanych z aktualną sytuacją w gospodarce morskiej skrót — pozwala nam zorientować się, jak wiele skomplikowanych problemów wiąże się z wykorzystaniem morza dla gospodarki narodowej.

Dlatego, jeśli podczas letniego urlopu znajdziemy się nad nim, pomyślmy czasem o wielotysięcznej armii ludzi, dzięki którym przynosi ono korzyści całemu krajowi.

Fot. R. Jaworski

Polskie lektury Marksa i Engelsa

(Dalszy ciąg ze str. 1)

gelsowi w liście z 30 października 1856 r., przesyłając mu kolejną porcję notatek z pracy polskiego generała. Dopiero nieco później zorientował się po przeczytaniu drugiego tomu „Historii" Lelewela, że to, co jego i Engelsa tak fascynowało w zapatrywaniach historycznych Mierosławskiego, pochodzi od wielkiego polskiego historyka oraz od Wacława Aleksandra Maciejowskiego (list z 2 grudnia 1856 r.).

Wymienienie tu nazwiska Maciejowskiego, wybitnego historyka praw słowiańskich, hołdującego zresztą tendencjom słowianofilskim do których zarówno Marks jak i Engels odnosili się bardzo krytycznie, może sugerować, że autor „Kapitału" zapoznał się z którymś z jego dzieł. Najpewniej mogło to być niemieckie tłumaczenie „Historii prawodawstw słowiańskich", które ukazało się w Stuttgarcie w latach 1835—1839 bądź — co mniej prawdopodobne ze względu na kontekst wypowiedzi — wydane w 1840 r. w Lipsku tłumaczenie francuskie studium o pierwotnej religii słowiańskiej, które ściągnęło na głowę autora wiele nieprzyjemności ze strony kręgów kościelnych.

Marks bardzo dokładnie wynotował Mierosławskiego „De la nationalité", znał inne prace polskiego demokraty, ale wypowiedziane przez wydawców I edycji antologii „Marks i Engels o Polsce" (Warszawa 1960, t. I, s. 432) przypuszczenie, że zapoznał się z jego wszystkimi publikacjami z tego czasu idzie zbyt daleko. W pracach Marksa z lat 1863—1864 znajdujemy powołania się na mowę polskiego generała w procesie berlińskim (1847), której egzemplarz w wydaniu francuskim („Discours prononcé de L. M. du 5 Aout 1847", (Bruksela 1847) z własnoręcznymi poprawkami Marksa zachował się do dziś, oraz — za „Posener Zeitung" — na memoriał Mierosławskiego do gen. Ernsta Pfuela z 1848 r. Na wczesne lata czterdzieste (podobno 1843) przypada zainteresowanie się Marksa wydaną w 1831 r. książką o Polsce i jej rozbiorach pióra liberalnego prawnika i publicysty angielskiego lorda Johna Brougham, dziełkiem arcykrytycznym w stosunku do Katarzyny II i przepojonym życzliwością dla Polaków; być może czytał je w tłumaczeniu niemieckim.

Przeszliśmy już po części do polskich lektur Marksa i Engelsa z drugiego okresu wzmożonych zainteresowań sprawą polską, który przypada na lata pięćdziesiąte. Poza lekturami Lelewela, którego „Uwagi" i „Panowanie Stanisława Augusta" uformowały poglądy Marksa na niektóre szczegółowe problemy z dziejów Polski (opis rozmowy Barssa z członkami Komitetu Ocalenia Publicznego jest u Marksa oparty właśnie o dzieło polskiego historyka) oraz w znacznej mierze jego ogólne zapatrywania na polski proces dziejowy. Poza wspomnianymi już tekstami Mierosławskiego Marks znał trzytomową „History of Poland" pióra znanego emigracyjnego publicysty, niechętnego obozowi Czartoryskiego Józefata Bolesława Ostrowskiego (Londyn 1841). Interesował się antypanslawistyczną publicystyką Edmunda Chojeckiego (który pisał po francusku jako Charles Edmond), robił wypiski z wydawnictwa G. F. de Martensa, zawierającego zbiór tekstów różnych traktatów politycznych („Recueil des principaux traités d'alliance (...), 7 t., Getynga 1791—1801), czytał prace z dziejów kultury Słowian drukowane po niemiecku i francusku. Marksowa fascynacja koncepcjami Lelewela zainteresowała nimi także Engelsa, który w liście z 11 marca 1857 r. zapytywał przyjaciela o cenę tego dzieła polskiego historyka, na którym oparł się Mierosławski.

Jednakże największa intensywność lektur Marksa z problematyki polskiej przypadnie dopiero na trzeci okres wzmożonych zainteresowań sprawą polską w latach sześćdziesiątych XIX w. Niedawno otrzymaliśmy do rąk kapitalne źródło do interesującego nas tu problemu, mianowicie opublikowane po raz pierwszy K. Marksa „Przyczynki do historii kwestii polskiej. (Rękopisy z lat 1863—1864" — Warszawa, Książka i Wiedza, 1971). Wydawnictwo to obejmuje autorskie warianty broszury „Polska, Prusy i Rosja", którą Marks zamierzał opracować wraz z Engelsem w związku z powstaniem styczniowym, inne teksty związane z polemikami w sprawie polskiej, wreszcie notatnik — kalendarz Marksa z 1863 r. oraz dwa zeszyty wypisów z najrozmaitszych lektur, związanych tematycznie z zamierzoną broszurą. Wraz z innymi, wcześniej znanymi materiałami, stanowi to podstawę dla rekonstrukcji listy lektur Marksa o tematyce polskiej z tego czasu, a częściowo i dawniejszych, których reminiscencje odnajdujemy na kartach „Przyczynków".

Do znanych nam już dzieł dochodzi tu przede wszystkim zbiorowa praca Hugona Kołłątaja, Ignacego Potockiego i Franciszka Ksawerego Dmochowskiego „O ustanowieniu i upadku Konstytucji polskiej 3 maja 1791 r.", opublikowana w 1793 r. Marks korzystał z niemieckiego tłumaczenia, dokonanego przez jednego z bliskich Kołłątajowi jakobinów — Samuela B. Lindego, tego samego, którego częściej wspominamy jako leksykografa — ogłoszonego w tym samym roku, co wydanie polskie. Uwagę Marksa zwróciła przedmowa tłumacza, z której wynotował on zdanie, że „już napaść na dobrą sławę Polski ciągnie za sobą przywłaszczenie jej dzierżaw". Książka ta, dająca czytelnikowi optymistyczny obraz wysiłków stronnictwa reform w usiłowaniach zmierzających do naprawy Rzeczypospolitej, piętnująca surowo zdradziecką politykę sąsiadów, rolę przedajnej magnaterii i króla, demokratyczna w swej koncepcji, zafascynowała Marksa i wpłynęła w znacznej mierze na jego poglądy na dzieje upadku dawnej Polski.

Dalszy ciąg na str. 4

KAROL BADZIAK

SŁODKIE ŻYCIE ELITY DIABELSKIEGO GRODU

Przyznać trzeba, że Łęczyca nie ma szczęścia do prasy. Ciągle ukazują się o tym, nad wyraz sympatycznym mieście, jakieś krwiożercze artykuły i reportaże z czarnej serii, których jedynymi pozytywnymi bohaterami są sami ich autorzy.

Najwyższy już czas, żeby skończyć z tym szkalowaniem pracowitego, łęczyckiego ludu, który czyżby tylko dlatego miał odbierać cięgi od dziennikarzy, że wybrał sobie za patrona diabła? Zbyt tanie i płaskie to wytłumaczenie. Boruta rzeczywiście personifikuje wszelkie zło słowiańskiego Hadesu, ale co to ma do rzeczy? Ponieważ sam nie jestem bez winy, postanowiłem w ramach odnowy przeciwstawić się tym praktykom, stanąć w pierwszym szeregu, dać odpór, no i w ogóle dokonać przełomu w bulwie, jako że jest to region warzywniczy.

Napisałem niegdyś, że jeden z miejscowych lekarzy, jak mu się zepsuł rentgen, prześwietlał chorych odkurzaczem. Bzdura! Co prawda miał ich podobno w ciemnym pokoju wstawiać do szafy i dopiero puszczać w ruch froterkę, lecz kto w to uwierzy? Albo to, że inny z kolei lekarz kopnął w szpitalu pacjenta w tyłek. Teraz już nie dam się nabrać na tego typu insynuacje, choć po Łęczycy w dalszym ciągu krążą przeróżne wieści. Trzeba im natychmiast uciąć łeb i zlikwidować w zarodku. Szkoda tylko, że nie wiem, gdzie przeróżne wieści mają łeb i zarodek. Źli ludzie prostego serca rozpowszechniają ostatnio wieść gminną, że śmietanka miejscowego towarzystwa na czele z ordynatorem powiatowego szpitala pobiła w Kutnie na wyjeździe służbowym w restauracji „Magnolia" funkcjonariusza milicji. Na szczęście nie uwierzyłem w tę bredzię. Ciekawe, komu mogą służyć takie plotki, zwane obecnie pogłoskami. Chyba wrogom. Rozpowiadają oni, że był tam wiceprzewodniczący prezydium powiatowej rady, kierownik wydziału zdrowia, zastępca dyrektora szpitala i inni, mniej ważni. I co z tego? Nie wolno im już pojechać na inspekcję? A że przy okazji zdarzyły się czyjeś imieniny i trochę do obiadu wypito, ludzka rzecz. Tylko ludzie, którym się władza ludowa, oczywiście miejscowa, nie podoba, mogą mieć im za złe.

Byłem na miejscu, rozmawiałem z kierownikiem restauracji, powiedział: „Byli jacyś z Łęczycy, trochę wypili, jeden z nich wracając z toalety pomylił stoliki i przysiadł się do cudzego towarzystwa, zaczął mrygać do jakiejś panienki. Ludzka rzecz. Nie podobało się to łobuziakowi, który z nią siedział, wstał, rąbnął gościa w mordę i zaczęła się kotłowanina. Przyjechała interweniować milicja, jeden z funkcjonariuszy oberwał niechcący od solenizanta. Ludzka rzecz. Na drugi dzień gość przyjechał z podbitym okiem, zapłacił za stłuczone szkło, dałem mu nawet zaświadczenie, przeprosił milicjanta, przeprosił nawet tego, który mu oko podbił. Ludzka rzecz, grzeczny gość".

A w Łęczycy z drobnego incydentu zrobiono zaraz aferę. Jakie to małomiasteczkowe. Jedno jest pewne, kelnerzy w bójce udziału nie brali. Nikogo nie zabili, nawet w zęby nikomu nie dali. Wiadomo, „Magnolia" nie „Europa", a Kutno nie Międzyzdroje.

Utarło się, że najwięcej rozrabiają w Łęczycy lekarze. A dlaczego rozrabiają? Utarło się, że rozrabiają dlatego, iż ziemia tam pszenno-buraczano-cebulowa, a lud miejscowy hipochondryczny i leczyć się lubi pasjami. Tymczasem wiemy przecież z góry, że większość lekarzy i to większość olbrzymia jest rzetelna, spokojna, pracowita i uczciwa, a tylko kilka czarnych owiec psuje reputację całemu środowisku. Ludzka rzecz. Zdarza się to w każdej profesji nie wyłączając i mego szlachetnego zawodu.

Właśnie wybrałem się niedawno do tejże Łęczycy, ażeby odpowiedzieć sobie na proste pytanie, dlaczego wśród tamtejszych lekarzy ciągle powtarzają się jakieś niemiłe incydenty, swary i kłótnie z cyklu gry i zabawy ludu polskiego. Zapewniam, że nie kierowało mną niskie wścibstwo, lecz pobudki wyższego rzędu. W końcu nie jest dla nikogo tajemnicą, że atmosfera obyczajowa w środowisku lekarskim ma wpływ na sytuację pacjentów. Nie chodziło mi zresztą o takie drobiazgi, jak ten, że kierownik ośrodka zdrowia w Piątku, dr B., wziął od pacjenta za wystawienie zwolnienia lekarskiego 500 złotych, gdyż suma przecież nie jest duża. Chodzi o to, że jeden wziął, a potem się powiada, że w naszym kraju biorą wszyscy prócz ryb. Jak wziął, to widocznie potrzebował. Gorzej, że jak się to wydało, sprawa nie trafiła do prokuratora, tylko załatwiono ją kompromisowo, czyli skierowano do komisji kontroli zawodowej, która to komisja udzieliła mu nagany i przykazała zapłacić 1000 złotych grzywny. W końcu więc zamiast „zarobić", dołożył 500 złotych. Można i tak. Ale ludziom prostego serca nie podoba się, że natychmiast tego lekarza nie zdjęto z kierowniczego stanowiska. A dlaczego mieliby to zrobić? Przecież wszystkim wiadomo, że suma kierowniczych stanowisk jest wyższa niż suma ludzi kwalifikujących się na te stanowiska.

W tym wszystkim najprzyjemniejsza wydaje mi się ta wyrozumiałość kolegów po fachu. Zawsze bardzo cenię sobie łagodność i wyrozumiałość w stosunkach międzyludzkich, a w tym wypadku mamy chyba do czynienia z jakimś wyjątkowo humanitarnym rozwiązaniem kwestii. Już i tak za dużo jest agresji w stosunkach między ludźmi, więc z zadowoleniem przyjmujemy do wiadomości każdy akt pobłażliwości. Oczywiście znam ludzi, którzy uważają, że nadmierna pobłażliwość zamiast uśmierzać, jeszcze agresję pomnaża, lecz ci są w mniejszości.

Co na przykład myśleć o lekarzu, który na zebraniu związkowym w szpitalu deklaruje głośno w stosunku do pielęgniarki A. K., że jest chamka i chętnie dałby jej w mordę („Jest pani chamką, dałbym pani w mordę"). Myśleć należy, że widocznie go bardzo zdenerwowała i czymś głęboko uraziła. Dziewczyna uchodzi za pyskatą, być może przeholowała, może w ogóle nie miała racji stawiając mu zbyt brutalne zarzuty jako przewodniczącemu rady zakładowej. W zaognionych konfliktach naprawdę trudno dociec prawdy. Jedno jest niewątpliwe, że obyczaje w szpitalu, gdzie używa się takiego słownictwa, są prawdopodobnie niezbyt eleganckie.

Miałem przyjemność rozmawiać z ową pielęgniarką i, oczywiście, nie uwierzyłem w to, co mówiła. Trudno zresztą było w to uwierzyć. Twierdziła, że, na przykład, w nocy nie mogła się dobudzić lekarza, żeby przyszedł do chorego, któremu się pogorszyło. Że wypraszano ją z dyżurki, gdyż lekarz z przełożoną mieli tam sobie coś miłego do powiedzenia. No i w ogóle opowiada różne rzeczy, jak to zwykle ludzie, którzy otrzymali wymówienie z pracy i są rozgoryczeni z tego powodu. Natomiast powodem wymówienia było spóźnienie do pracy. Powodem spóźnienia była wizyta na wsi u chorego dziecka, a autobusy PKS chodzą w powiecie łęczyckim tak samo niepunktualnie, jak w Radomsku przed inspekcją elewa NIK, Janusza Prędkiego. W każdym bądź razie spóźnienie do pracy jest rzeczą karygodną, szczególnie spóźnienie pielęgniarki.

Rozmawiałem również z laborantką szpitala powiatowego ob. H. N. Ta z kolei otrzymała naganę, gdyż wyraziła się źle o swym miejscu pracy. Oczywiście, nie uwierzyłem jej, by za taki drobiazg otrzymała naganę. Tam musiało być coś więcej. Ale co? Niemniej wysłuchałem, co mówiła, a mówiła tak: „Na zebraniu powiedziałam, że rada zakładowa jest fikcją, ponieważ nie chciała mi pomóc nawet w wypadku, gdy chodziło o podpis podania o przydział mieszkania po rodzicach. A gdy już mieszkanie otrzymałam, przewodniczący rady nie chciał mi podpisać podania o prolongowanie na trzy miesiące spłat pożyczki z kasy zapomogowo-pożyczkowej. Zaznaczam, że zarabiam 1200 złotych i z chwilą przydziału mieszkania było mi bardzo ciężko. Jak się pójdzie do przewodniczącego rady, to patrzy na człowieka jak na szybę i liczy muchy na suficie. Nie są to więc wizyty przyjemne".

Dziwne są pretensje tej kobiety. Przewodniczący rady zakładowej, dr P., ma najelegantszą willę w Łęczycy, więc co go mogą obchodzić kłopoty dziewczyniątka, które otrzymało jakiś tam pokoik z kuchenką i nie ma pieniędzy na spłaty. Ludzie się zrobili teraz tacy małostkowi.

Albo chodzi sobie po szpitalu taki człowiek, jak Janusz S. Zwolniono go niegdyś dyscyplinarnie z pracy, wytoczył proces dyrekcji szpitala, proces wygrał i teraz nic innego nie robi, tylko pisze pracownikom podania, zażalenia i skargi. Salowe i sprzątaczki nie otrzymały fartuchów i butów — napisał im skargę do Zarządu Okręgowego ZZPSZ w Łodzi i fartuchy i buty się znalazły. Dyrekcja szpitala słusznie więc zabroniła mu używać służbowej maszyny do pisania dla celów prywatnych. Poza tym Janusz S. cieszy się opinią złego obywatela miasta. Oczywiście, jest to opinia nieznakomitszych obywateli miasta, czyli opinia elity. Był kiedyś kierownikiem składu opałowego, wszystkich wsadzili, a jego nie ukarano. Czyż to nie świadczy przeciwko niemu? Gdyby go wsadzili, to znaczy, że porządny człowiek. Odwala w szpitalu wredną robotę. Kuma się ze sprzątaczkami, pomaga salowym, toć po prostu wariat. Dowód: uciekł kiedyś ze szpitala w szlafroku.

Przepraszam Czytelników za ten zawód — sugerowałem na wstępie reportaż z miasta, a wychodzi mi reportaż z magla.

Można zadać pytanie, co w tej sytuacji robi organizacja partyjna przy Wydziale Zdrowia w Łęczycy? Mogę odpowiedzieć: jest równie skłócona jak całe środowisko ze sobą, konkurujące o przyciągnięcie prywatnej klienteli. Grudzień ta organizacja przeżyła na swój sposób. Drugi sekretarz OOP dokonał zamachu stanu i przeniósł pierwszego sekretarza OOP bez porozumienia z egzekutywą do innej organizacji. W ogóle echa grudniowych wypadków (nie tych na Wybrzeżu) w Łęczycy nie umilkły do tej pory. Otóż, kiedy kraj przeżywał tragedię, elita miasteczka na czele z dyrektorem banku i jeszcze kilkoma innymi dyrektorami wybrała się na polowanie. W pewnym momencie jeden z uczestników niefrasobliwej eskapady posądził drugiego, że ten chciał go ustrzelić. Z kolei drugi uczestnik przeciwko pierwszemu wystąpił do sądu o zniewagę. Takie oto problemy mają miejscowi prominenci. Szef prokuratury również obecny na tym polowaniu wystąpił z koła myśliwskiego.

Tak w ogólnym zarysie kształtuje się pejzaż obyczajowy Borutowego grodu. Przy najbliższej okazji ukażemy jasne strony życia w tym mieście, które jest dziś chore i potrzebuje dobrego chirurga, a nie ginekologów.

POLSKIE LEKTURY

Dalszy ciąg ze str. 3

O pracy tej wspominał wielekroć Engelsowi także później w 1870 r., ten zaś zdobył ją antykwarycznie jesienią 1882 r., o czym zaraz doniósł przyjacielowi. Ponadto Marks sięgnął do wydawnictwa ucznia Lelewela — Leona Sawaszkiewicza — mianowicie jego „Tableau de l'influence de la Pologne sur les destinées de la Révolution francaise et de l'Empire", w trzecim wydaniu paryskim z 1848 r., z którego wykorzystał i wynotował relacje i dokumenty dotyczące głównie dziejów stosunków polsko-francuskich. Tą drogą zapoznał się też z przedrukowanymi przez Sawaszkiewicza w obszernych fragmentach pamiętnikami Juliana U. Niemcewicza, Michała Ogińskiego i Leonarda Chodźki, które widać szczególnie go zainteresowały, skoro sporządzał z nich długie wypisy opatrzone przy tym dokładnymi danymi bibliograficznymi francuskich edycji tych źródeł, zapewne dla ewentualnego sięgnięcia po ich pełne teksty. Trudno jednak bez specjalnych badań powiedzieć, czy Marks kiedykolwiek to uczynił. Za Sawaszkiewiczem wykorzystał on także napisany przez Antoniego Ostrowskiego „Żywot Tomasza Ostrowskiego" (Paryż 1836, t. I) oraz wynotował interesujące go wyjątki z prac kilku wybitnych historyków francuskich, głównie na temat stosunków polsko-francusko-rosyjskich.

Innym polskim dziełem o charakterze wydawnictwa źródłowego, do którego sięgnął Marks w latach 1863—1864 był opracowany przez konserwatywnego historyka związanego z Hotelem Lambert — Karola Sienkiewicza „Recueil de documents relatifs a la Russie" (Paryż 1854). Zaczerpnął z niego teksty dotyczące głównie politycznej historii Rosji, Niemiec i Polski w XVIII w., oraz nieco materiałów o czasach wcześniejszych. Z innych dzieł autorów polskich zaglądnął jeszcze do napisanej po niemiecku prawniczej rozprawy Michała Hubego, do wspomnianej już mowy Mierosławskiego z 1847 r., broszury A. Wielopolskiego z 1847 r. o polityce rosyjskiej, dziełka posła do pruskiego parlamentu Wojciecha Lipskiego z 1848 r., wreszcie do różnych pisanych przez Polaków broszur, odezw i nawet kilku periodyków z czasów Wielkiej Emigracji o rozmaitych orientacjach ideowych, od demokratycznej po konserwatywną. O skrupulatności poszukiwań uczonego świadczy wyzyskanie przezeń niektórych publikacji bardzo mało znanych, jak np. dziełka awanturnika i szpiega Igelströma Karola Glave-Kolbielskiego o Konstytucji 3 Maja, opublikowanego po niemiecku w Warszawie w 1791 r., czy też arcyciekawej — niestety, nie rozszyfrowanej przez wydawców „Przyczynków" — broszury powstałej w polskim środowisku jakobińskim, niekiedy przypisywanej Józefowi K. Szaniawskiemu: „Untersuchung über die Rechtmässigkeit der Theilungen Polens", wydanej po raz pierwszy w Warszawie w 1794 r. Marks dysponował drugim wydaniem, opublikowanym tamże w rok później.

Oprócz tekstów autorów polskich oraz ogólnych dzieł historyków obcych, z których Marks wyławiał interesujące go wiadomości o sprawach polskich, na szczególną uwagę zasługują wykorzystane przezeń dzieła autorów obcych, poświęcone w całości sprawom Polski. Były to przede wszystkim utwory pamiętnikarskie, takie jak „Pamiętniki i akta autentyczne" hr J. E. Goertza wydane po francusku w Hamburgu w 1810 r., francuski elaborat rosyjskiego kwatermistrza Jana J. Pistora o powstaniu kościuszkowskim (Paryż 1806), wreszcie — drugie wydanie Dominika de Pradt'a, rezydenta napoleońskiego w Warszawie, „Historii ambasady w Wielkim Księstwie Warszawskim w 1812 r." (Paryż 1815). Były też wśród tych lektur poważne dzieła historyczne. Pierwszym z nich jest francuska dwutomowa „Historia rewolucyj w Polsce od śmierci Augusta III do roku 1775", którą Marks wykorzystał w pierwszym wydaniu warszawskim z 1775 r. Zaznaczył w swych notatkach, że „drugą część napisał ksiądz Joubert", zaś wydawcy uznali całość za dzieło tego autora. Jest to jednak zbieg dowolny, bowiem ostatnio coraz częściej się podkreśla, że „Historia rewolucyj" jest utworem jedynie przypisywanym Joubertowi; autorstwo jej jest wątpliwe, natomiast inspiracja kół bliskich Stanisławowi Augustowi nie kwestionowana i nie do podważenia. Marks korzystał także z głośnego i cennego dzieła Claude C. de Rulhiere „Historia anarchii w Polsce" w jego najpopularniejszym, pierwszym, bardzo okrojonym wydaniu sporządzonym na rozkaz Napoleona w 1807 r. Zawierało ono także „Anegdoty o rewolucji w Rosji 1762 r.", tekst wielce nieżyczliwy dla Katarzyny II i poszukiwany swego czasu przez jej ludzi; cztery ostatnie rozdziały „Historii" w tej edycji napisał niemal w całości wydawca. Marks nie dotarł do znacznie lepszego wydania Krystyna Ostrowskiego z 1862 r., które zresztą było wówczas całkowitą nowością. Myśliciel korzystał również z cieszącego się wielkim uznaniem trzytomowego francuskiego dzieła hr Antoine Ferrand'a „Historia trzech rozbiorów Polski" (Paryż 1820), pracy, której wartość polega skądinąd na tym, że jest ona plagiatem z nie opublikowanych części świetnego dzieła Rulhiere'a. Marks wykorzystał więc najwybitniejsze ówczesne syntetyczne dzieła o nowożytnych dziejach Polski — prócz Lelewela trzy prace autorów francuskich, polecane wówczas obcokrajowcom przez najwybitniejszych polskich znawców przeszłości narodowej jako wiarygodne źródła informacji.

Polskie lektury Marksa i Engelsa nie urywają się na latach sześćdziesiątych XIX w., od tej pory mają jednak częściej charakter bezpośrednio polityczny. Wspomnieliśmy już jak Engels uradował się, gdy udało mu się — zresztą drogo — kupić książkę Kołłątaja i współpracowników...

Znany nam, niewątpliwie fragmentaryczny materiał, znacznie rozszerzony dzięki wydaniu „Przyczynków do historii kwestii polskiej" Marksa, pozwala się zorientować, że Marks i Engels, zwłaszcza zaś pierwszy z nich, dysponowali poważnym warsztatem naukowym w zakresie historii Polski, o jaki mógł się pokusić rzadko który z uczonych obcych. Odnosimy również wrażenie, że z dwóch przyjaciół i współpracowników właśnie Marks był tym, który wziął na swoje barki zdecydowanie więcej obowiązków w zakresie badawczych poszukiwań w dziedzinie historii Polski. To on podsuwał Engelsowi różne „polskie" lektury, robił dla niego wypisy, wykorzystywane później w ich wspólnych i indywidualnych pracach. Wydaje się również, że ten naukowy podział pracy znalazł swoje odbicie w pisarstwie zarówno Marksa jak Engelsa na tematy polskie.

Zarówno dobór lektur, jak ich oceny wskazują, że zwłaszcza Marks, za nim zaś Engels wysoko cenili polską demokratyczną myśl historyczną i polityczną, poczynając od „jakobinów" z końca XVIII stulecia, a kończąc na Lelewelu, Mierosławskim i polskich demokratach drugiej połowy XIX wieku.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Jeszcze raz o szkłach kontaktowych

OBYWATEL REDAKTOR NACZELNY
„ODGŁOSÓW"
W Łodzi

Zapoznałem się z treścią artykułu redakcyjnego w „Odgłosach" nr 26(710) z dnia 28. VI. 1971 r.

W artykule tym Redakcja stawia mi cały szereg bardzo poważnych zarzutów takich jak: bra.. należytej troski o potrzeby zdrowotne, prawie lekceważenie tych potrzeb, tłumienie krytyki, nonszalancję. Doszukiwano się także w stylu mojej pracy „spychotechniki", zasłaniania się czynnikami odgórnymi itp.

Te wszystkie zarzuty spłynęły na moją głowę chyba tylko dlatego, że ośmieliłem się mieć inne zdanie niż Pan Redaktor Badziak w sprawie zdarzeń między Panem Borchardtem a Spółdzielnią Lekarską. Zdarzeń, które w bardzo bolesny sposób odczuło grono pacjentów, dla których szkła kontaktowe stanowią istotny problem życiowy.

Nie mogę dotąd zrozumieć czego oczekiwała Redakcja od Wydziału w sprawie Pana Borchardta. Zastanawiam się jednak jeszcze raz nad całą sprawą i zapewniam Redakcję, że czynię to bez chęci dławienia krytyki.

Podążając za inspiracją artykułu Pana Redaktora Badziaka winienem chyba, uzurpując sobie uprawnienia, których Wydział nie posiada „złamać" statut Spółdzielni uchwalony przez Walne Zgromadzenie i nakazać jej zatrudnienie Pana Borchardta na warunkach przez Niego stawianych.

Zastanawia mnie dlaczego Pan Redaktor wymaga od Spółdzielni łamania obowiązującego statutu i tylko od niej domaga się żarliwie społecznego zaangażowania. Czy naprawdę, w imię dobra tych wszystkich pacjentów i Pan Borchardt nie powinien zrewidować swojej postawy?

Zapewniam Szanowną Redakcję, że ogromna rzesza pracowników służby zdrowia, którą mam zaszczyt kierować, dobro chorego stawia nade wszystko.

Podobnie jak na Spółdzielnię Lekarską, tak i na Izbę Rzemieślniczą Wydział nie ma wpływu na decyzje w sprawie uprawnienia Pana Borchardta do wytwarzania szkieł kontaktowych.

Sądzę, że o tych sprawach Redakcja wiedziała przed opublikowaniem artykułu, jeżeli nie to proszę uprzejmie o uwzględnienie ich przy wyciąganiu wniosków i zarzutów pod adresem Wydziału i moim własnym.

W piśmie do Redaktora Naczelnego użyłem słowa „anonsowano w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej" i tym naraziłem się Redakcji, która stawia mi kolejny poważny zarzut działania przez spychotechnikę, przerzucania odpowiedzialności na czynniki wyższe itp.

Chcę tu wyjaśnić, że działania Wydziału, Spółdzielni Lekarskiej, Zarządu Okręgowego Łódzkiego Związku Sp-ni Pracy i Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy oraz Departamentu Profilaktyki i Lecznictwa Ministerstwa Zdrowia były intensywne i adekwatne do rangi problemu.

Czy one już dały rezultaty? Chcę poinformować Szanowną Redakcję, że tak. Jak wiadomo, Wydziałowi Spółdzielni Lekarskiej udało się zatrudnić dwóch pracowników (w tym jednego mgr inżyniera) i wznowi ona zaopatrywanie swoich pacjentów w szkła kontaktowe. O fakcie tym jak mogę przypuszczać, Redakcja wiedziała przed opublikowaniem artykułu i widać nie uznała za stosowne podać ten ważny szczegół do wiadomości swoich czytelników.

Według informacji otrzymanych od wicedyrektora w/w Departamentu dr Feliksa Olędzkiego zostaje wysłanych 30 osób na przeszkolenie za granicę, które po powrocie zajmą się produkcją szkieł kontaktowych. O imporcie szkieł z Czechosłowacji Redakcja informowała.

Nie wiem czy w świetle powyższego stosowny jest zarzut do Wydziału i mnie osobiście odnośnie stylu pracy poprzez spychotechnikę i sugerowanie szeregu osobom „tym w górze i na dole", że sprawy ludzi potrzebujących szkła kontaktowe są im obce.

Prawdą jest natomiast, że w tak poważnych sprawach jak potrzeby zdrowotne, niechętnie widzimy te rozwiązania organizatorskie, które zakładają realizowanie ich poprzez monopolizowanie w jednych rękach.

Na marginesie chciałbym poinformować Redakcję, że prawie analogiczne trudności do łódzkich przeżywa Gdańsk, gdzie jeden z producentów szkieł kontaktowych, z sobie wiadomych tylko powodów zaprzestał produkować je dla potrzeb społecznej służby zdrowia.

W tym stanie rzeczy stanowisko Wydziału Zdrowia, że produkcją i zaopatrzeniem ludności w szkła kontaktowe winno zająć się przedsiębiorstwo państwowe jest chyba oczywiste i nie mieści się w pojęciu tłumienia krytyki.

KIEROWNIK WYDZIAŁU
DR NAUK MED. TADEUSZ LEWY

*

OD REDAKCJI:

W maju i czerwcu br. informowaliśmy się kilkakrotnie w recepcji Spółdzielni Lekarzy Specjalistów (ul. Piotrkowska 3) czy Spółdzielnia wykonuje szkła kontaktowe. Nam natomiast wiadomo jest, że pacjenta, który zgłosił się do Spółdzielni 9 lipca br. w sprawie założenia szkieł kontaktowych odprawiono z kwitkiem.

Premier swoje a pan doktor swoje

Chyba zupełnie przypadkowo w 26 numerze „Odgłosów" z dnia 27. VI. 1971 r., na stronie 3, obok siebie znalazły się dwie pozycje: „W sprawie krytyki prasowej" oraz pismo premiera Piotra Jaroszewicza, skierowane do ministrów i kierowników urzędów centralnych o zapewnienie szerszego niż dotychczas informowania społeczeństwa o zamierzeniach pracy rządu oraz całej administracji państwowej i gospodarczej.

Ale nie o analizowanie tej polemiki chodzi. Chciałbym napisać o skutkach, jakie wywołało pismo premiera w sprawach zasadniczych, bo należytego i wszechstronnego informowania prasy, radia i telewizji o poczynaniach i zamierzeniach administracji państwowej i gospodarczej.

W liście premiera m.in. czytamy: ..... **Wskazane jest utrzymywanie stałych i systematycznych kontaktów z prasą, radiem i telewizją, częste, bezpośrednie ich informowanie o pracach resortu, organizowanie spotkań, na których byłyby omawiane zagadnienia nurtujące społeczeństwo oraz udzielane odpowiedzi na zadawane pytania."**

Pismo to podpisał premier 22 kwietnia 1971 roku, anulując ustalenia w przedmiocie informacji dla prasy, radia i telewizji, zamieszczone w protokole posiedzenia Rady Ministrów z dnia 16 października 1970 r.

I oto wpadł mi do ręki Biuletyn Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium RN m. Łodzi nr 4/71 z dnia 9.VI.71 r., tylko do użytku służbowego, podpisany przez pana dr Tadeusza Lewego. I otóż na stronie 6 tego Biuletynu czytamy, m.in. co następuje:

„...Jednocześnie przypominamy, że nie tracą swej ważności wydane uprzednio zalecenia, zakazujące informowania telefonicznego prasy, radia i telewizji o aktualnej sytuacji w służbie zdrowia. Wszelkich informacji dla prasy, radia i telewizji może udzielać jedynie kierownik Wydziału Prez. DRN po uzyskaniu zgody z Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Prez. RN m. Łodzi." Koniec, kropka!

A więc premier sobie, a pan doktor Lewy — sobie. Premier zaleca kontakty ze środkami masowego przekazu oraz informowanie ich o pracach resortów, a pan dr Tadeusz Lewy zezwala z prasą rozmawiać tylko kierownikowi Wydz. Zdrowia Prez. DRN, i to za jego osobistą zgodą. Nie wolno więc rozmawiać z dziennikarzami dyrektorowi szpitala, kierownikowi ośrodka zdrowia, przychodni, lekarzowi poradni. No, a już rozmowa z pielęgniarką chyba do przestępstwa zostanie zaliczona. Co gorsza, przypomina się, że uprzednie zalecenia, wydane z pewnością po październikowym okólniku, nie tracą swej ważności. Nie wolno pod żadnym pozorem rozmawiać w XX wieku z dziennikarzami przez telefon. Jeżeli np. w szpitalu położniczym urodzą się w Łodzi pięcioraczki — dyrektorowi szpitala nie wolno pisnąć ani słowa, no, a ordynatorowi oddziału, gdzie dzieci przyszły na świat, to już do telefonu nawet podejść nie wolno!

Sądzę, że wszelkie komentarze do tego są zbyteczne...

ZBIGNIEW SKIBICKI

Listy, listy, listy...

PANIE REDAKTORZE!

Piszę do Pana, ponieważ Pan zajmuje się tą sprawą. Jest to dla mnie sprawa bardzo bolesna. Przyjechałam z Grodziska Mazowieckiego w woj. warszawskim. Miałam skierowanie ze szpitala wojewódzkiego w Warszawie do Spółdzielni Pracy Lekarzy Specjalistów w Łodzi w celu ewentualnego dobrania szkła kontaktowego. Miałam dobrane takie szkło w roku 1967, ale upadło mi i uszkodziło się. Kiedy 18 czerwca pojechałam do Łodzi, dowiedziałam się, że ten optyk szkieł kontaktowych nie robi, ponieważ zabroniono mu robić dla spółdzielni. Lekarz nie potrafił mi podać żadnego innego adresu, gdzie bym mogła dostać szkło kontaktowe. Okazało się więc, że przyjechałam na próżno i nigdzie nie dostanę tak potrzebnej mi rzeczy. Jestem naprawdę w bardzo ciężkiej sytuacji. Mam tylko jedno oko i teraz prawie nic na nie nie widzę. Pracuję w Grodziskiej Spółdzielni Inwalidów. Dojeżdżam do pracy 7 kilometrów, a teraz jest mi bardzo ciężko dojeżdżać. Szkło mi bardzo pomagało. Może to histeria, ale kiedy się o tym wszystkim dowiedziałam, rozpłakałam się. Byłam u tego optyka, ale nic mi nie mógł pomóc. Wróciłam do domu, niestety, z niczym.

Po tym wszystkim nasuwają mi się różne myśli. Przede wszystkim wydaje mi się, że ktoś wydał błędne zarządzenie, nie licząc się z tym, że jest to jedyny optyk w Polsce, który robi te szkła. Ludzi ze stożkami soczewki jest mało, ale przecież są. Czy naprawdę mamy być pozbawieni możliwości poprawy widzenia. Mówi się dużo o pomocy państwa dla ludzi poszkodowanych kalectwem, ale, niestety, na podstawie takiej decyzji można sądzić coś wręcz odwrotnego.

Bardzo bym Pana prosiła o pomoc w tej sprawie. Będę bardzo wdzięczna i z góry dziękuję.

JADWIGA ŻELAZOWSKA

* * *

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Za przeproszeniem szlag najjaśniejszy trafił mnie i moich najbliższych, po przeczytaniu odpowiedzi Kier. Wydziału Zdrowia naszego Miasta, na artykuł redaktora K. Badziaka pt. „Optyk i zaćma".

Kto jak kto, ale Wydział Zdrowia jest najbardziej kompetentny do zajęcia rzeczowego stanowiska w sprawie p. Borchardta. Wołam w imieniu wszystkich potencjalnie zagrożonych posiadaczy dwojga oczu: „Uzdrówmy Wydział Zdrowia"!

Każdy z nas, obywateli, posiada większą lub mniejszą dozę humanitaryzmu, od lekarza oczekujemy superhumanitaryzmu, pomocy, opieki i szczególnego uczulenia na niedolę ludzką, a nie biurokratyzmu, nonszalancji i lekceważenia.

Stanowisko Kierownika Wydz. Zdrowia jest dla mnie absolutnie niezrozumiałe i nie do przyjęcia. Ob. Borchardt, wszystko jedno pod czyją egidą, niechaj przywraca wzrok tym, którzy niedowidzą. Oby nasi chorzy nie musieli jeździć do Warszawy lub innego miasta, które ob. Borchardtowi zapewni warunki do pracy, jak to wielu naszym podkupionym fachowcom się przydarzyło.

Łączę wyrazy szacunku
S. J.
(nazwisko i adres znane redakcji)

POLONICA

DYREKTOR PARYSKIEGO TEATRU W POLSCE

Wybitny aktor i reżyser francuski, dyrektor paryskiego Theatre Populaire de la Ville, Jean Mercure, odwiedził nasz kraj, zwiedzając Warszawę, Kraków i Gdańsk. W stolicy spotkał się z naszymi ludźmi teatru, w polskim Oddziale Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI). Projektowany jest przyjazd Theatre de la Ville do Polski ze świetnym przedstawieniem „Wojny trojańskiej nie będzie" Jean Giraudoux oraz wystawienie „Dwóch teatrów" Jerzego Szaniawskiego w Paryżu. Najbliższą premierą tego teatru będą „Biesy" Dostojewskiego w adaptacji autora „Kaliguli" i „Dżumy" Alberta Camusa.

W. N.

ZESPÓŁ POLSKICH CYGANÓW WE FRANCJI

Bardzo duże uznanie zdobył w czasie swych występów w paryskiej "Olimpii" zespół Cyganów z Polski, „Roma". Claude Sarraute napisała o nim w „Le Monde": „Zespół ten ukazuje nam bardzo ładny spektakl, pełen uroku, nastroju i lokalnego kolorytu... Profil dziewcząt zdradza hinduskie pochodzenie narodu, tak jednak wrosłego w kraj swej adopcji, że w dużej mierze pożyczył od nich, w drodze osmozy, rytmy, instrumenty i kroki taneczne". „Mamy wrażenie, że odbywamy podróż do Europy środkowej" — kończy recenzentka.

W. N.

POLONICA

Bolączki mojej dzielnicy, mojego zakładu, moje własne

Gorzkie żale człowieka poczciwego

Mieszkamy na czwartym piętrze. Nad nami już tylko strych, a nad trychem niebo. Z nieba latem padają obfite deszcze, zimą — obfite śniegi. Gdy śniegi zaczną gwałtownie topnieć, woda zalewa nasze mieszkanie. To samo dzieje się w porze dużych opadów deszczowych. Od sufitu, przez okno, pod futryną okienną przesącza się woda. Zameldowaliśmy gdzie trzeba tzn. w ADM (Administracja Budynków Mieszkalnych). Przyszli, popatrzyli, pokiwali głowami. To dlatego, że dach niedobry — powiedział jeden. Trzeba go pokryć nową papą i wysmołować — powiedział drugi. Pokryli i wysmołowali. Niewiele pomogło. Albo smoła niedobra, albo papy dali za mało. Nie wiem. No dobrze, a balkon, a okna! Teraz, kiedy tak silnie padają deszcze, bez przerwy musimy czuwać. Bo jak nadejdzie fala ulewnego deszczu w nocy, trzeba zrywać się z łóżka, podstawiać miednice, podkładać szmaty, wycierać podłogi. Kamienicę, w której mieszkamy, wybudowano w 1938 roku. Jest więc już nowoczesna, ale jeszcze solidna. A teraz dom ten niszczeje. Bo zacieki są nie tylko w naszym mieszkaniu. Także u innych lokatorów. Ubiegłej zimy było dziwowisko na całej naszej ulicy. Akurat w niedzielę nastąpiła gwałtowna odwilż. Patrzymy, a na ścianie naszego mieszkania tuż pod sufitem tworzy sie plama. Najpierw mała, potem coraz większa, wreszcie woda zaczyna spływać ciurkiem. Nie możemy czekać, aż przyjdą z ADM robotnicy, bo zatoniemy. Wchodzimy na dach i zwalamy topniejące zwały śniegu na ulicę. A jedno z nas stoi na ulicy i ostrzega przechodzących ludzi. Bo jakby, nie daj Boże, śnieg spadł komuś na głowę z takiej wysokości, nieszczęście gotowe. Odmalowaliśmy mieszkanie, kosztowało dużo, zużyliśmy na ten cel wszystkie nasze oszczędności. Znowu nas zalało.. Teraz już nie odnawiamy.

Jest w naszej kamienicy winda. Ładna, przedwojenna. Najpierw wymienili w tej windzie klamki i okucia. Dawne niklowe zamieniono na żelazne okropne. Prymitywna robota kowalska. Ale niech tam! Grunt, żeby winda dobrze funkcjonowała. Rzecz w tym, że się psuje. Dawniej ściągaliśmy ją kluczem. Teraz zrobiono tak, że wystarczy nacisnąć guzik elektryczny, zapala się czerwone światło i winda schodzi sama. Tyle tylko, że huczy i trzęsie. A dawniej nie huczała i nie trzęsła. Po każdej naprawie gorzej. Boimy się, że po którejś z kolei naprawie winda w ogóle przestanie działać. Więc się pytam: czy nie sposób temu zaradzić? Czy postęp ma polegać na tym, że nie można usunąć braków, a jeśli się je jakoś tam usunie — to jest gorzej, niż było? Co zrobić, gdzie i do kogo się udać? Czy w dobie wypraw na księżyc i innych olśniewających wyczynów techniki, nie można uporać się z dachem, balkonem i oknem?

ANTONI LATO

EUGENIUSZ IWANICKI

INTELEKTUALISTKA

Podarowałem dziewczynie książkę.

— O czym? — zapytała.

— O miłości — skłamałem. Byłem pewien, że przynajmniej przeczyta kilka stronic, zanim ją wyrzuci.

— A kto ją napisał?

— Nie pamiętam — kłamałem znowu, choć to ja byłem autorem tej książki.

— Aha. Zobaczę w domu.

Siedzieliśmy w podrzędnym powiatowym barze, pijąc cienką herbatkę o smaku metalicznym i ostrym.

Przyszła na to spotkanie, gdyż właśnie weszło w modę intelektualne spędzanie czasu. A ja w opinii miasteczka uchodziłem właśnie za takiego dziwaka, który oddaje się intelektualnym zajęciom, to znaczy robi rzeczy nieokreślone, a może wręcz nieprzyzwoite. Moje zajęcie wiązało się na pewno z myśleniem, a jednocześnie nikt dokładnie nie wiedział, co robię. Intelektualista — to tyle, co pomyleniec, niepewny, pochłaniający grube książki i zamiast codziennego odwiedzania miejscowej pijalni, zajmujący się pisaniem. Tolerowano mnie, czasem odnoszono się ze współczuciem, może nawet trochę się obawiano. Przed samą wojną zmarł tu młody ksiądz, też podobno cierpiał na intelektualną chorobę. Ciągle czytał, nawet skonał z zakazaną książką w ręce. Był także drugi wypadek: nauczyciel francuskiego, samotny i zgorzkniały mól książkowy i także intelektualista, pewnego dnia rozebrał się publicznie i wlazł na jedno z drzew, rosnących obok magistratu. Siedział do nocy, a potem spadł i umarł w okropnych mękach.

Więc traktowano mnie jak intelektualistę, choć nikt nie wiedział, co to takiego. Młodzież zapuszczała brody i hodowała włosy, by zwinięte w pukle kładły się na kołnierzach. O nich także mówiono, że rosną na intelektualistów.

Siedząca ze mną dziewczyna pracowała w okienku pocztowym i strasznie była ciekawa spraw intelektualnych. Kiedy nieśmiało zaproponowałem jej spotkanie, zarumieniła się i zaczęła się tłumaczyć, że jej doświadczenie w tych sprawach jest mniej niż przeciętne, a w ogóle to co ja sobie o niej pomyślę. Wówczas powiedziałem o tej książce. Powiedziałem: przyniosę pani książkę, taką naprawdę intelektualną. To ją przekonało. Teraz siedzimy w barze, a książka owinięta w gazetę leży na stoliku.

— A jaka tam została opisana miłość? — pyta.

— Nie wykraczająca poza doznania intelektualne — mówię.

Dziewczyna rumieni się.

— Spodziewałam się tego.

Następnie rozmawiamy o wspólnych znajomych, o drobnych wydarzeniach, o miejscowych plotkach.

— A panu to nie przeszkadza? — pyta.

— Co, mianowicie?

— No, to ciągłe intelektualizowanie.

— Wcale. Proszę sobie wyobrazić, że chyba się z tym urodziłem.

— Ach!

— Pani mnie przecenia.

— O, nie! Wiem, co mówię. Słyszałam, że pan także pisze książki. Tak chciałabym znać kogoś, kto jest pisarzem.

— Przecież pani zna: to właśnie ja.

— Ale chciałabym tak bliżej, zupełnie blisko.

Byłem dla niej grzechem, którego obawiała się i jednocześnie pragnęła. Ta prosta, uczciwa dziewczyna chciała przeżyć przygodę, poznać coś, co dotąd wymykało się z zasięgu jej doświadczeń.

— Czy wie pani, co to jest intelektualizm?

— Chyba coś nieprzyzwoitego. Ale to teraz modne.

— Co sądzi pani o miłości?

— Piękna rzecz. Lecz nie wierzę w uczucia.

— Doświadczenie?

— Kiedyś się sparzyłam.

— Jednak pragnie pani kogoś kochać, lub stać się obiektem czyjegoś uwielbienia?

— Która tego nie pragnie?...

— Ale boi się pani intelektualistów...

— Wolę nie ryzykować. Zresztą muszę już iść, obserwują nas.

Obejrzałem się. Trzy dziewczyny, przypuszczalnie tuż przed maturą, natarczywie przyglądały się mojej towarzyszce. Były modne, ubrane z elegancją prowincjonalnych podlotków, których nie mogły zeszpecić nowoczesne płaszcze, przypominające popie sutanny. Ich piękno miało w sobie pierwszą świeżość kwiatów. Nie odwróciły się, spokojnie przyjęły mój pytający wzrok.

— A ja naprawdę chciałabym przeżyć coś intelektualnego, wie pan, takiego, jak to nieraz opisują w książkach. Na pana liczyć nie mogę, pan jest żonaty. Zresztą u nas zaraz by się wydało.

Wzruszyłem ramionami. Dla niej pojęcie intelektualisty było jednoznaczne. Gdybym usiłował cokolwiek wyjaśnić, nie uwierzyłaby, albo moje słowa przyjęłaby za naigrywanie się.

Milcząco zapiąłem płaszcz, poprawiłem kołnierz, gdyż na dworze mżył jesienny kapuśniaczek. Powoli zaczęliśmy iść do wyjścia. Trzy uczennice wpatrywały się w nas z milczącą dezaprobatą. Dopiero teraz rozumiałem ich niechęć: moja towarzyszka była brzydką, podobną do szkolnego kujona w okularach, a nie do urzędniczki, naklejającej znaczki pocztowe, dziewczyną.

Już na dworze, kiedy żegnaliśmy się, zapytała:

—Czy przeciętny intelektualista może mieć dzieci?

— W żadnym wypadku — odpowiedziałem, co wywołało na jej twarzy wyraz zadowolenia. — Jeśli ma, to są zazwyczaj dzieci jakiegoś przybłędy, pospolitego alkoholika, albo faceta, pobierającego opłatę za energię elektryczną. Wie pani, intelektualiści po prostu... — tu nachyliłem się do jej ucha i zacząłem szeptać.

Krzyknęła, odskoczyła aż na jezdnię, potem zaczęła biec przez rozmokłe kwietniki i zieleńce rynku, aż zniknęła w jakiejś bramie.

Na książce, którą jej wręczyłem, napisałem dedykację: „Życzę przyjemnej, intelektualnej rozrywki".

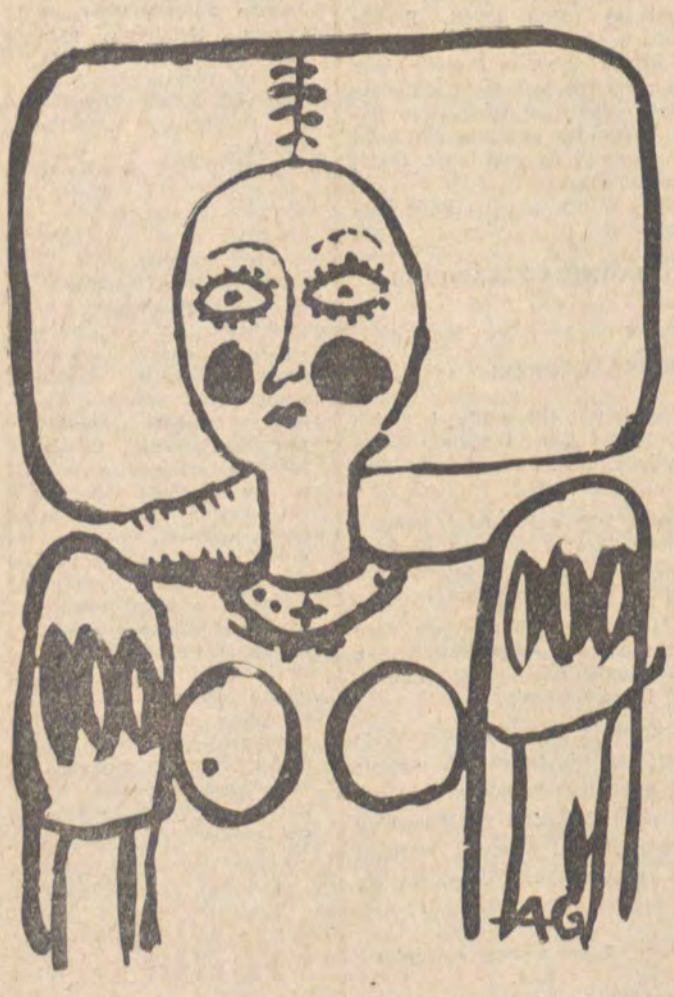

Andrzej Grun — „Portret Hiszpanki" — gipsoryt

ŚWIERSZCZE

Zdarzenie, o którym chcę opowiedzieć, wydarzyło się naprawdę.

Proszę więc sobie wyobrazić drewniany domek, wieczór, hałaśliwe towarzystwo, dużo wódki, gdzieś w ramie okiennej i w belkach stropu grę świerszczy.

— Piękny koncert — mówi ktoś i podchodzi do okna.

— To dobre duchy tego domu — odpowiada Gospodarz. — Zżyłem się z nimi.

— Jest ich coraz mniej — mówi Pani. Za kilka lat zapomnimy o ich istnieniu. Wyginą doszczętnie.

— Cywilizacja niczego nie oszczędza.

— Cywilizację stworzył człowiek dla własnej zagłady — odzywa się Profesor.

— O, przepraszam, nie zgadzam się z panem, kolego — oponuje ktoś inny. — Umiejętne pokierowanie...

— Ba, umiejętne!

— Kto dziś o tym pamięta.

— Ależ panowie, nie możemy doprowadzić naszych osiągnięć do absurdu. W ten sposób możemy dojść do wniosków, że praca całych pokoleń zmierzała do zagłady przyszłych cywilizacji.

— Tak to, z grubsza biorąc, można traktować.

— Panowie, panowie — uśmiechnął się Gospodarz. Nie uda nam się zapewne tej kwestii rozwiązać przy tym stole, na to potrzeba ciszy pracowni i laboratoriów. Proponuję wypić za te grające w powale świerszcze, za ten wieczór, za to, że jeszcze możemy się spotykać...

— Pan jest romantykiem — powiedział z wyrzutem Poeta i odstawił kieliszek. — Pan budzi widma.

— Lubię piękno — odrzekł Gospodarz. — To wszystko.

— A ja? — krzyknął Poeta i zapłakał. — Ja piszę wiersze!

Wrócił ten spod okna i w zaciśniętej dłoni przyniósł świerszcza. Wszyscy zaczęli go oglądać, bo właściwie nikt z nich dotąd nie widział świerszczy.

— Połóżmy go na stole — zaproponowała jedna z pań. — Może nam zagra.

— Gra tylko w samotności.

— Więc może zamknąć go w pudełku?

Poeta wziął szklankę i przykrył nią świerszcza.

— Tranzystor ze skrzydłami — powiedział.

Rozmowy trwały nadal. Dyskusja była burzliwa, lecz jak przystało na ludzi dobrze wychowanych, nie przerodziła się w zwyczajną kłótnię. Jedynie Poeta siedział milczący i przepijał do uwięzionego świerszcza.

Rano goście odjechali. Gospodarz pogasiwszy światła, zapadł w ciężki, niespokojny sen.

Obudził się późno, kiedy słońce zniżyło się do wierzchołków sosen, a długie cienie podpełzły pod sam dom. Jeszcze nie wstając, ale leżąc z otwartymi oczyma pojął, że coś się wydarzyło. Nie mógł od razu pojąć tej zmiany, i długo, w skupieniu oglądał sufit z modrzewiowych belek, ściany zawieszone trofeami myśliwskimi, zdobytymi przez poprzednich właścicieli domu, stół przypominający ogromny zlewozmywak, w którym zgromadzono naczynia stołowe z niedawnego wesela. Jego niepokój wzrastał. Na pewno zaszło coś bardzo ważnego, zdarzenie, któremu nie mógł zapobiec.

Wstał. Otworzył okno. Do pokoju wpłynął zapach traw i lasu.

„Co się stało? — zapytywał siebie i tarł skronie — Co się tu wczoraj wydarzyło"?

Pośród kieliszków, resztek jedzenia, dostrzegł szklankę przewróconą do góry dnem, a pod nią drobny kształt świerszcza. Wziął go za skrzydełka i położył na dłoni. Owad był martwy.

I nagle zrozumiał: świerszcze milczały. Dom był wypełniony ciszą i obcością. Milczenie szło od ram okiennych, od belek stropowych, od mebli. Wypełniało dom, wciskało się w uszy Gospodarza. Była w nim cisza żałobników i zarazem oskarżenie.

Ostrożnie zaniósł martwego świerszcza na parapet, nożem podważył listwę i wsunął go do powstałej w ten sposób szpary.

Czekał przez następne godziny, dni i lata. Ale świerszcze nie powróciły.

Wspomniałem o tym, gdyż czuję się winny. Owego wieczoru nie potrafiłem zapobiec polowaniu na te stworzenia, ani nie uczyniłem żadnego gestu, by je ocalić

Rys. F. Starowieyski

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

★

★ ★

Zmuszasz mnie do rozlicznych wybiegów
kłamstw
zbrodni
Patrzysz na mnie z obrzydzeniem
i tępą zazdrością
Każdy tak może
mówisz
ja też bym umiał
Nie zapominasz bowiem nigdy
że jestem twoim usprawiedliwieniem
ucieczką
snem
I jest ci z tym dobrze
wygodnie
Bezustannie podnosisz rękę
i wskazujesz
To nie ja
to On
Tak
Tylko że ja
potrafię pielęgnować i miłość
Dlatego zabiłem siebie
Wczoraj

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

DAGESTAN TAKŻE I NASZ

Twórczość Rasula Gamzatowa, najwybitniejszego poety Dagestanu, jednego z najciekawszych współczesnych poetów radzieckich jest u nas znana od dawna. W 1968 r. ukazały się w wyborze Wiktora Woroszylskiego „Miniatury" *) Gamzatowa, liryki świeże i oryginalne. Obecnie ukazała się na rynku księgarskim proza Gamzatowa „Mój Dagestan" **), poetycka opowieść o rodzinnych stronach poety, o jego ziomkach z górskich aułów i ich obyczajach. Przeszłość Dagestanu sąsiaduje tu z dniem dzisiejszym. Gamzatow opisuje z dumą teraźniejsze osiągnięcia swej ojczyzny, a jednocześnie z wielkim sentymentem opowiada jej krwawą a wspaniałą przeszłość. Autor, już nie „ciemny góral", wspomina obyczaje dziadów i ojców, odważnych, pełnych godności własnej, kochających wolność. Składa hołd pamięci Szamila, bohatera narodowego Dagestanu, który w latach 1834—1859 przewodził walką kaukaskich górali z carską Rosją. Postać Szamila i nam będzie bliska, gdy przypomnimy sobie, jak wielkie nadzieje budziły walki kaukaskie wśród naszej, polistopadowej emigracji.

Z ciepłym liryzmem rysuje Gamzatow urodę swego kraju, której nie mogą przyćmić uroki Japonii, Francji, Włoch, Polski. „Mój Dagestan" jest poetycką autobiografią Gamzatowa i rodzajem poetyckiego manifestu. Tłumaczy więc poeta dlaczego pisze swe wiersze po awarsku (Awarowie są jednym z licznych narodów Dagestanu) i dlaczego pozostanie do końca wierny tradycji kulturalnej swego kraju. Wskazuje na bogatą spuściznę literatury dagestańskiej, która ukształtowała go jako poetę. Wiele miejsca poświęca wspomnieniom o ojcu, słynnym ludowym poecie Gamzacie Cadasa, od którego nauczył się przywiązania do stron rodzinnych i pogodnej życiowej mądrości. Daje nam poeta wspaniałą lekcję moralności narodowej, spowiadając się ze swego największego grzechu, z wiersza znieslawiającego pamięć wielkiego Szamila, napisanego w latach fałszywej interpretacji działalności narodowowyzwoleńczej. Wskazuje również na dziejową odpowiedzialność poety, który powinien za wszelką cenę bronić prawdy. „Mój Dagestan" stanowi również rodzaj przewodnika po wierszach poety. Przeplata nimi Gamzatow swoją opowieść, opisuje proces ich powstawania.

„Mój Dagestan" — to proza ornamentacyjna, stylizowana na wzór przypowieści wschodnich. I tutaj kilka słów o tłumaczu. Jerzy Jędrzejewicz znakomicie uchwycił orientalny charakter opowieści. Jest to chyba jedna z najlepiej przełożonych książek na język polski w ostatnich latach.

Jędrzejewicz opatrzył książkę rzetelnym posłowiem przedstawiającym w sposób skrótowy historię walk kaukaskich. Pokrótce scharakteryzował również twórczość Rasula Gamzatowa, laureata Nagrody Leninowskiej za rok 1963.

Książka opatrzona ilustracjami Andrzeja Strumiłło otrzymała bardzo staranną i oryginalną oprawę edytorską.

Sądzę, że opowieść o Dagestanie, którego historia tak bardzo związana jest z naszą tragiczną i wielką przeszłością, powinna zjednać sobie wielu czytelników, a autobiograficzne wątki wielkiego poety powinny uczynić tę książkę bliską dla wszystkich.

*) R. Gamzatow, „Miniatury". Wybór W. Woroszylski, PIW, W-wa 1968.

**) R. Gamzatow, „Mój Dagestan". Tłum. J. Jędrzejewicz, PIW, W-wa 1971.

LISTY DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W 25 numerze „Odgłosów" z dnia 20. VI. 1971 r. została wydrukowana moja recenzja o książce Ryszarda Binkowskiego „Sypała brzezina złotem, czerwienią" zatytułowana — „Ballada o miłości do kobiety i ziemi".

Szanowny Panie Redaktorze, w recenzji tej „redaktorski ołówek poczynił dość znaczne moim zdaniem spustoszenie. Dotyczy ono głównie passusu mówiącego krytycznie o recenzowanej książce.

Nie chcąc oddawać utalentowanemu pisarzowi niedźwiedziej przysługi i znając demomokratyzm Szanownego Pana Redaktora nie wątpię, że wykreślony passus zostanie opublikowany w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów".

Oto rzeczony passus:

„Nie szukam powinowactw, lecz wydaje mi się, że jest moim obowiązkiem jeszcze o jednym niebezpieczeństwie grożącym temu pisarstwu napomknąć.

W warstwie doświadczeń jest ono jak najbardziej własne, ale jeżeli chodzi o fakturę, stylistykę, o to co bym nazwał muzyką zdania, przypomina mi mocno prozę poetycką Tadeusza Nowaka. Na pewno to znakomity autor, lecz sądzę że Binkowskiego stać na to, żeby ze swoich doświadczeń wyczarować muzykę własną. Pierwsze jej tony w tej balladzie o miłości do kobiety i ziemi zostały już wypowiedziane".

Łączę należne wyrazy szacunku

(—) MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

EWA OSTROWSKA

PODRÓŻ ZIMOWA

Piękna to proza. I mądra: dojrzała. „Podróż zimowa" Ewy Dąbrowskiej-Orzelskiej, niewielki tomik miniaturowych opowiadań, w porównaniu z poprzednim zbiorem: „Dzielnicą SAM-ów" stanowi olbrzymi krok naprzód, w twórczości tej ciekawej, utalentowanej pisarki, świadcząc jak najlepiej o jej pisarskich możliwościach i sprawności warsztatowej. Miniatury bowiem należą do niebezpiecznego, wręcz zdradliwego gatunku literackiego, gdzie łatwo można potknąć się o pospolity banał, fałsz natrętnej pseudofilozofii, czy tanich uogólnień, ukrytych za misterną fasadą pustej stylistyki.

Ewa Dąbrowska szczęśliwie — poza drobnymi wyjątkami, o których później — ustrzegła się od popełnienia tych wszystkich grzechów. Jej proza przypomina miejscami, a nierzadko się to zdarza, owe staroświeckie już, pełne subtelnego wdzięku i gorzkiej mądrości miniatury ze starej szkoły wielkich samotników — Turgieniewa, Priszwina zwłaszcza. Ale miniatury Dąbrowskiej jedynie pozornie zatrącają nutką staroświeczyzny, ponieważ świat, przez który przeprowadza nas autorka w swojej „Podróży zimowej" jest światem nam najbliższym, doskonale znajomym, poznanym — bo współczesnym. Obciążony winami dnia pospolitego, sam pospolity, zwyczajny, mizerny. I chociaż „Podróż zimowa" dzieje się w nierealnej, często na wpół baśniowej, na wpół groteskowej scenerii, to spotykamy się w jej bogatych, ozdobnych dekoracjach prawdziwi: obojętni lub tępi, okrutni lub głupi, prostaccy lub naiwni; pragnienia są mizerne, zwycięstwa tylko pozorne, marzenia przekupne. Ukazywani przez Dąbrowską jakby w krzywych zwierciadłach — ale nie śmieszni, ani antypatyczni, ani tym bardziej karykaturalni, po prostu — zwyczajni, przeraźliwie zwyczajni mimo strojnych kostiumów i kunsztownych masek.

Piękna to proza. I mądra. Bez kaznodziejskich ostrzeżeń, moralizatorskich pouczeń. Dąbrowska nie jest okrutna, chociaż bezlitośnie pokazuje: tacy jesteśmy. Nie stara się oskarżać, poprawiać. Co więcej — nie szydzi, nawet wówczas, kiedy posługuje się, a czyni to chętnie — formą groteski. Groteska Dąbrowskiej wychodzi poza utarty schemat, zostaje przez autorkę wyraźnie uszlachetniona, elementy abstrakcji nabierają wszelkich cech prawdopodobieństwa, stają się symbolami zwyczajnych ludzkich ułomności (Liany, Sąsiad), pierwiastki satyry są mocno przygłuszone i przechodzą raczej w gorzką refleksję, subtelną ironię (Karta dań, Święto Bałwanów), wreszcie, stosowana wielokrotnie i z całkowitym powodzeniem baśniowa, poetycka konwencja ubarwia groteskę lekkością, zachwyca pięknem stylu, zwięzłością i prostotą języka, formy literackiej (Anna-Maria, List, Królowa balu, Mgła, Kwatera).

Jednak nie wszystkie, zebrane w tomiku miniatury są siebie warte. Wydaje mi się, że Ewa Dąbrowska powinna była przeprowadzić bardziej krytyczną selekcję utworów. Tę zdecydowanie piękną całość psują rzeczy słabsze, może nawet nie aż tak złe, lecz w zestawieniu z większością opowiadań, rażące niedostatkami. Mam na myśli trzy miniatury, których nie powinno być w tym tomiku: „Dom na szczycie wzgórza", „Sny" oraz „Filip, ślady na śniegu". Oczywiście, wybrzydzam, lecz znakowita reszta — zobowiązuje.

Ewa Dabrowska-Orzelska: „Podróż zimowa", Wyd. Łódzkie, 1971.

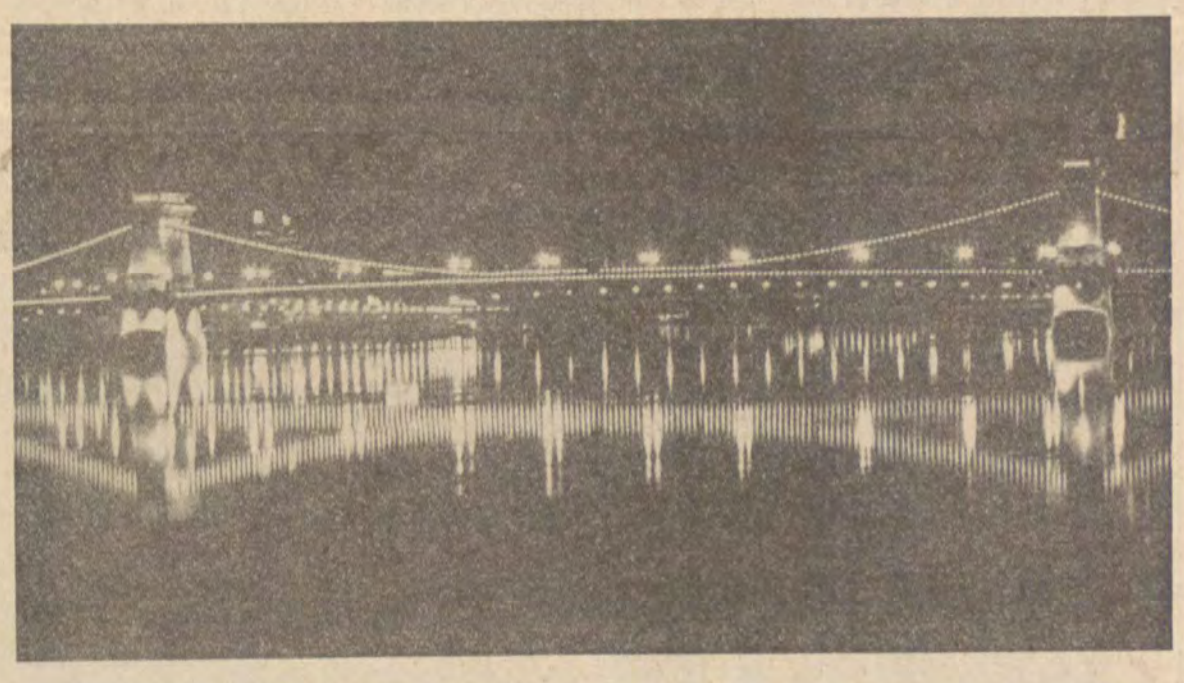

„Symetria" *Fot. Nagy Zoltan*

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

★ **W. RYMKIEWICZ — Podróż do Włoch**

★ **E. IWANICKI — Urodzeni po wojnie**

★ **K. BADZIAK — Raz na ludowo**

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

BOLESŁAW KONORSKI

Granice krytyki

Pod tym tytułem znalazłem w Odgłosach 22 notatkę redaktora naczelnego tego pisma, stanowiącą odpowiedź na mój skierowany do niego list w sprawie recenzji „Listów" Tomasza Manna.

„Granice krytyki" — to słowa stosowane często przez krytyków literackich, teatralnych itd., które spotykamy na łamach naszych dzienników; słowa te nierzadko stanowią uniwersalny parawan osłaniający tych krytyków przed zarzutami stawianymi im za ich wypowiedzi; sprowadzają się one właściwie do tezy: „zawodem moim jest krytyka; dlatego wolno mi krytykować wszystko i to w taki sposób, jak moja dusza zapragnie; nie jest jednak dopuszczalne, aby profan — czytelnik krytykował to, co napisał krytyk". Innymi słowami: nie wolno narzucać krytyce jakichkolwiek granic ani co do jej zakresu, ani co do treści.

Wydaje mi się, że jest przeciwnie; że wysoki poziom dzisiejszej kultury, zaostrzone wymagania natury etycznej oraz dobre obyczaje nakazują trzymanie się w naszych krytycznych wypowiedziach wyraźnych granic dających się ściśle określić. Chcę się tu pokusić o ogólne — niepełne wprawdzie — wytyczenie tych formalnych granic dla krytyki literackiej.

1. Krytyka powinna być u c z c i w a. Mam tu na myśli konieczność pedantycznie ścisłego podawania wszelkich cytat; ale poza tym również i możliwie dokładnego przedstawiania myśli autora, którego się krytykuje. Więc, na przykład, niedopuszczalne jest wyodrębnianie poszczególnych zdań z kontekstu, z jakim były one zespolone i w ten sposób preparowanie fałszywego obrazu całości.

2. Krytyka nie powinna posługiwać się argumentami sofistycznymi lub erystycznymi. Należy zatem np. unikać ekstrapolacyjnych uogólnień wszelkiego rodzaju. Dalszych przykładów nie będę tu przytaczał; można ich wiele znaleźć m. in. w rozprawie Schopenhauera pt. „Eristische Dialektik".

3. Krytyka powinna być rzeczowa i możliwie obiektywna. Nikogo nie interesują ściśle prywatne predylekcje piszącego: czy na przykład lubi schaboszczaka, czy też bardziej gustuje w cotelette a la volaille. Czy podoba mu się więcej Conrad niż Joyce; — chyba, że sąd taki jest rezultatem porównawczej analizy twórczości obu. A zupełnie niewłaściwe jest już, jak sądzę, wytykanie komuś, że wypowiedział się „z przekąsem" o innym autorze.

Do tego punktu zaliczyć można również krytykę domniemanych braków lub opuszczeń w tekstach innych autorów. „Dlaczego Sienkiewicz nie wspomniał w Trylogii nic o stosunkach gospodarczych siedemnastowiecznej Polski?" „Dlaczego Tomasz Mann nie poświęcił w swych listach ani jednego słowa napaści hitlerowskiej na Polskę?"

Parę słów o tym. Trzy tomy „Listów" Manna — to dokonany przez jego córkę wybór korespondencji prywatnej pisarza. Sprawy polityczne porusza w nich bardzo rzadko. Mówi wprawdzie o ruinach Warszawy, które powinny być ostrzeżeniem dla „niecnych i szalonych" (26.IX.39). Ale nie ma w tych listach np. nawet wzmianki o napaści Hitlera na Związek Radziecki, na Jugosławię lub Grecję. (Nawet śmierci Hitlera poświęcił Mann literalnie tylko dwa słowa: gdy dziennikarz zapytał go, czy wierzy prasowej informacji o zgonie Führera, pisarz odpowiedział: „who cares?"). Jeśli ktoś chce poznać poglądy Tomasza Manna na hitleryzm, niech ich nie szuka w prywatnych listach, ale raczej przeczyta „55 prelekcji radiowych wygłoszonych w latach 1940—1955 dla niemieckich słuchaczy".

Powracam do dalszych punktów wyznaczających granice krytyki.

4. Krytyka powinna dotyczyć tylko spraw istotnych. Kleinerowi, który napisał ogromną monografię o Mickiewiczu, ówczesny krytyk (nie pamiętam już nazwiska) postawił poważny zarzut: na stronie, dajmy na to, 500 (?) zostało błędnie podane nazwisko niańki służącej w rodzinie poety.

5. Krytykując i oceniając geniuszów (a T. Manna stawiają w Niemczech często na równi z Goethem) należy zachować umiar i dystans. Nie znaczy to wcale, że ich nie wolno krytykować, ale wskazana tu jest chyba zupełnie szczególna ostrożność i bardzo wyostrzone poczucie taktu. Niedopuszczalne jest chyba, aby inżynier-konstruktor zarzucał Poincaremu braki w rozumowaniu matematycznym, a nauczyciel fizyki wytykał Einsteinowi niekonsekwencje. I to bynajmniej nie dlatego, że twórczość tych uczonych stanowi jakieś tabu; po prostu, z rachunku prawdopodobieństwa wynika prawie zawsze, że racja leży po ich właśnie stronie.

Wiem, że podane tu pobieżne wytyczenie granic krytyki jest niekompletne oraz że niektóre punkty się częściowo pokrywają. Ale przecież doraźna próba eseju — to jeszcze nie dzieło naukowe.

Chciałbym jeszcze zaznaczyć, że pobieżne, naszkicowane wyżej, formalne granice krytyki literackiej, znajdują zastosowanie również — mutatis mutandis — do krytyki naukowej, i to zarówno w dziedzinie humanistyki, jak i w naukach ścisłych.

ROMAN SZYDŁOWSKI

DLACZEGO BRECHT?

We Florencji odbyło się niedawno międzynarodowe colloquium poświęcone problemowi aktualnosci dramaturgii Brechta w dniu dzisiejszym. Zostało ono zorganizowane przez kierownictwo Rassegna Internazionale dei Teatri Stabili. Wzięli w nim udział wybitni reżyserzy, aktorzy, tłumacze, wydawcy i teatrolodzy, zajmujący się od lat dramaturgią i teatrem Brechta z 11 krajów Europy.

Słowo wstępne wygłosił prof. **Bernard Dort** z Paryża, zastanawiając się nad różnymi aspektami problematyki brechtowskiej i jej znaczeniem dla rozwoju współczesnego teatru.

Później obrady toczyły się nad poszczególnymi kompleksami tematycznymi. Pierwszym z nich była sprawa wydania dzieł Brechta i jego prac teoretycznych. Referat na ten temat wygłosił kierownik literacki teatru Berliner Ensemble i redaktor wydania zbiorowego pism Brechta, **Werner Hecht.** Później zabrał głos tłumacz sztuk Brechta na język włoski i redaktor włoskiego wydania jego utworów, **Emilio Castellani. John Willett** poinformował uczestników colloquium o publikacjach brechtowskich w Anglii i w USA. Upatrywał on przyczyny trudności recepcji Brechta w krajach anglosaskich m. in. w słabości przekładów poetyckich jego sztuk. Ginie w nich po największej części urok liryki Brechta, co uniemożliwia właściwą ocenę i odbiór wartości jego dramatów. Willett uczestniczył niedawno w pierwszym spotkaniu Towarzystwa Brechtowskiego, które powstało w Stanach Zjednoczonych i stawia sobie za cel przede wszystkim popularyzację jego dzieł w krajach anglosaskich.

Drugi kompleks zagadnień obejmował powiązania dramaturgii Brechta z ideologią i polityką. Obrady rozpoczęły się od referatu Romana Szydłowskiego pt. „Ideologiczne i polityczne znaczenie dzieła Brechta", po czym zabrał głos Jean Tailleur z Paryża, redaktor francuskiego wydania pism teoretycznych Brechta i rozwinęła się ożywiona dyskusja.

Trzeci dział colloquium obejmował zagadnienia praktyki teatralnej, związanej z dziełem Brechta i jego teorią. Tu zabierali głos wybitni reżyserzy i aktorzy: Giorgio Strehler, Benno Besson, przedstawiciele teatru Berliner Ensemble: Ruth Berghaus i Ekkehard Schall, Bernard Sobel, kierownik artystyczny teatru w Genevilliers niedaleko Paryża (gdzie gościł niedawno teatr Berliner Ensemble) i inni.

Wreszcie czwarty dział dyskusji koncentrował się wokół krytyki dotyczącej twórczości Brechta. Referaty wprowadzające do dyskusji wygłosili: najwybitniejszy włoski znawca dzieł Brechta prof. Paolo Chiarini i prof. Ernst Schumacher z Uniwersytetu im. Humboldta z Berlina.

Dyskusja toczyła się nad najważniejszymi problemami współczesnego stanu prac nad dramaturgią Brechta i nad jego teorią dramatu i teatru. W czasie colloquium wyjaśniło się wiele problemów spornych. Po pierwsze dość zgodni byli uczestnicy spotkania w sprawie oceny dramaturgii i teatru absurdu. Ten kierunek należy już do historii i niczego nowego nie należy w tej dziedzinie oczekiwać. Jedynymi dwoma żywymi nurtami we współczesnym teatrze są: teatr Artauda i teatr Brechta. Prof. Chiarini uważa, że koncepcja teatru Brechta nie jest całkowicie obca teatrowi okrucieństwa Artauda. Również prof. Dort doszedł do wniosku, że zbadanie wspólnych tendencji teatru Brechta i teatru Artauda jest problemem fundamentalnym. Obydwa kierunki rozbijają bowiem konstrukcję dramatu arystoteicznego, zmierzają w stronę destrukturacji dzieła teatralnego i szukają nowego kontaktu między sceną i widownią. Część uczestników dyskusji nie zgodziła się z możliwością znalezienia punktów stycznych pomiędzy teatrem Brechta i teatrem Artauda, ale większość godziła się z tym, że są to dziś dwa najżywsze nurty w teatrze współczesnym. Bardzo precyzyjną analizę różnic pomiędzy teatrem Brechta i teatrem Artauda przeprowadził prof. Schumacher. Stwierdził on, że teatr Brechta zajmuje się przemianami społecznymi i ich oddziaływaniem na człowieka, natomiast teatr Artauda interesują tylko przemiany człowieka, niezależnie od warunków w jakich żyje.

Wszyscy uczestnicy dyskusji podkreślali ogromne znaczenie pism teoretycznych Brechta i jego metody. Prof. Chiarini stwierdził, że teatr epicki nie jest określonym stylem, lecz metodą. Teoria Brechta stanowi znakomitą szkołę dialektycznego myślenia. I tu wszyscy uczestnicy dyskusji zgodzili się znowu, że dla wydobycia pełnej wartości sztuk Brechta konieczne jest mocniejsze uwypuklenie sprzeczności, jakie w nich tkwią, ujawnienie jedności przeciwieństw, która jest podstawą ich struktury ideowej i artystycznej. Tylko reżyserzy rozumiejący zasady dialektyki i założenia tej metody poznawania świata, mogą dać przedstawienia wydobywające w pełni sens dramaturgii Brechta.

Bardzo ciekawe były głosy praktyków. Wszyscy oni podkreślali konieczność wzmocnienia pracy nad rozrywkową funkcją sztuk Brechta. Pracując nad wydobyciem ich sensu ideowego nie wolno zapominać o tym, że jeśli utracą one swój walor poetycki i urok mądrej rozrywki, wówczas staną się płaskie i nudne, a ich sens nie dotrze do widzów. Benno Besson mówił o tym, że rozrywka może być także walką o określone treści polityczne, tylko prowadzoną innymi środkami, środkami rozrywki. Ruth Berghaus doszła do wniosku, że problemy historyczne i społeczne muszą być przedstawiane z największą fantazją, kunsztem i pomysłowością, jeśli mają być dla widzów przyjemnością, a nie nudną lekcją.

Wielu uczestników dyskusji zadawało sobie pytanie w jakim stadium znajduje się obecnie recepcja sztuk Brechta w świecie. W niektórych krajach sztuki Brechta wzbudzają w tej chwili ogromne zainteresowanie. Tak jest np. we Włoszech, gdzie niedawna inscenizacja „Świętej Joanny szlachtuzów" zrealizowana przez Strehlera i kilka innych przedstawień sztuk Brechta cieszyło się ogromnym powodzeniem. Ale powszechne było w czasie colloquium mniemanie, że praca nad sztukami Brechta dopiero się rozpoczęła. Mówił o tym Benno Besson i Giorgio Strehler, który powiedział, że wprawdzie problemy sztuk Brechta się nie zmieniły, ale świat się zmienia i my się zmieniamy. Dlatego przedstawienia z roku 1970 muszą być inne, niż te z roku 1960.

Dla lepszej interpretacji sztuk Brechta konieczne jest kształcenie reżyserów i aktorów w oparciu o jego teorię. Konieczne jest pogłębienie ich wiedzy filozoficznej. Trzeba czytać tych — mówił Klaus Volker — którzy wywarli wpływ na teorię Brechta: Hegla i Lenina, trzeba się uczyć dialektyki. Ważny jest bowiem nie tylko Brecht — autor sztuk, lecz także Brecht — teoretyk teatru. I trzeba także przygotowywać widzów do zrozumienia sztuk Brechta. Teatr Berliner Ensemble organizuje w tym celu publiczne próby, dostępne dla wszystkich, dyskusje z robotnikami w fabrykach, dyskusje po przedstawieniach. Aktywiści teatru idą do fabryk i wyjaśniają trudne problemy robotniczym widzom.

Pełna zgoda panowała także w sprawie formy przedstawień sztuk Brechta. Można przy ich wystawianiu stosować różne środki oddziaływania, różne style. Wbrew dawnym poglądom, przedstawiciele teatru Brechta mówili tym razem, że tzw. „modele" (przygotowywane jako wzorce przez teatr Berliner Ensemble) sprawdzają się tylko w określonych warunkach i mogą być tylko pomocą przy pracy nad nową inscenizacją, ale nie zdogmatyzowanym kanonem do naśladowania. Dyskusja nad nowymi propozycjami inscenizacyjnymi powinna opierać się na analizie wybitnych przedstawień sztuk Brechta, które pojawiają się przecież nie tylko na scenie jego teatru.

Stąd już tylko krok do wniosku, jakim zakończyło się colloquium brechtowskie we Florencji. Giorgio Strehler zaproponował, by w przyszłym roku zorganizować podobne spotkanie w oparciu o prezencję kilku przedstawień sztuk Brechta. Wówczas dyskusja miałaby znacznie konkretniejszy charakter. Tego samego zdania był Benno Besson, Emil Copfermann, krytyk „Les Lettres Francaises" z Paryża i inni. Omówienie najnowszych przedstawień sztuk Brechta pozwoliłoby uniknąć niebezpieczeństw dyskusji akademickiej.

Interesuje nas stosunek sztuk Brechta do sytuacji współczesnej, motywy, jakie skłoniły reżyserów do wybrania tej, a nie innej sztuki Brechta w chwili obecnej i to, co pragnęli poprzez daną inscenizację powiedzieć współczesnym widzom. Interesuje nas dlaczego Strehler i inni wielcy reżyserzy wracają obecnie po kilku latach przerwy do sztuk Brechta, jakie są nowe inscenizacje sztuk Brechta w różnych krajach, co pociąga dziś w tej dramaturgii młode pokolenie reżyserów i aktorów? Dyrektor Rassegna Internazionale dei Teatri Stabili dr Mariotti przyrzekł zorganizować takie seminarium w roku przyszłym.

Dlaczego Brecht? Odpowiedź na to pytanie była jasna. Dlatego, że jest to dramaturgia ideowa, podejmująca najważniejsze problemy naszych czasów, odpowiadająca potrzebie teatru politycznego, a zarazem teatr poetycki o wielkich walorach estetycznych, dający widzom wiele radości myślenia i przyjemności oglądania tego, co mądre, dowcipne i piękne. Dramaturgia i teatr, które znajdują wciąż gorący oddźwięk zarówno wśród twórców, jak i wśród widzów. Żywa dramaturgia i żywy teatr naszego czasu, który mówi ciekawie i oryginalnie o tym, co nas najbardziej interesuje: o tym jaki ma być nasz świat i co trzeba zrobić, by go ulepszyć...

Wakacyjny konkurs „Odgłosów"

Fot. W. Kraska

Rozpoczął się sezon wakacyjno-wczasowych wędrówek, rozpoczęliśmy więc publikację zadań konkursowych, których tematem będzie **Łódź i Ziemia Łódzka** i związane z regionem tradycje historii i kultury.

Zadania konkursowe publikować będziemy w ciągu kilku tygodni — zasada ta sama, co w poprzednich konkursach „Odgłosów". Odpowiedzi można więc nadsyłać systematycznie, można też rozwiązywać tylko poszczególne człony konkursu. — Oczywiście odpowiadając na wszystkie pytania zwiększacie swoje szanse w ostatecznym losowaniu nagród.

I nagroda — 1.500 zł w bonach towarowych

II nagroda — 1.000 zł w bonach towarowych

III nagroda — 500 zł w bonach towarowych

oraz trzy wyróżnienia w postaci wydawnictw albumowych.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych na adres: **Łódź, „Odgłosy", ul. Piotrkowska 96 — „Konkurs wakacyjny".**

ZADANIE KONKURSOWE NR 2

Rzeźbiarz i jego dzieło. Efekty tej pracy (zdjęcie wykonano wiele, wiele lat temu) ogląda dziś każdy, kto odwiedza Łódź. Nie żyje już dziś artysta, który dał miastu pomnik najtrwalej chyba wrośnięty w panoramę Łodzi, ale żyje spiżowa postać Naczelnika, żyje legenda o wojennych losach pomnika.

Twórca tej rzeźby, wybitny artysta, uczeń Xawerego Dunikowskiego zmarł w Londynie 29 kwietnia 1965 roku. Jak brzmi jego nazwisko — oto kolejne zadanie konkursowe dla naszych Czytelników.

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Kłopoty

zentacji „dorobku środowisk twórczych i amatorskiego ruchu artystycznego" było rzeczywiście cenne i ważne, miało charakter ponadregionalny, a więc kłóciło się wyraźnie z lokalnymi założeniami Wiosny.

Taką ważną imprezą była, na przykład, Ogólnopolska Sesja Naukowa z okazji czterdziestolecia Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej — zorganizowana przez Muzeum Sztuki w Łodzi. Ale, co charakterystyczne, mogła się ona odbyć w każdym innym tygodniu, a nawet miesiącu bez szkody dla programu obrad, w których uczestniczyli wybitni polscy historycy sztuki i muzealnicy spierający się, przede wszystkim, na temat awangardowych prądów sztuki europejskiej. Tym cenniejsze jest więc, że gościom dzielnie i rzeczowo sekundowali łódzcy historycy sztuki, wnosząc istotny wkład do obrad, chociaż, jak przypuszczam, ani przez chwilę nie podejrzewali, że ich wypowiedzi zostaną potraktowane jako „przegląd dorobku środowiska twórczych" miasta.

Podobny nurt refleksji można odnieść do równie interesującej ponadregionalnej imprezy, jaką był VI Ogólnopolski Festiwal Poezji, mającej żywot znacznie dłuższy niż wszystkie łódzkie Wiosny Artystyczne. Jako jeden z uczestników tego zjazdu mogę zapewnić, że ani przez moment nie krępowała mnie świadomość zwiększonej odpowiedzialności za „łódzki" wkład do obrad, ani też nie czułem nacisku „lokalnej" konkurencji, która w myśl założeń organizatorów Wiosny powinna była na wyprzódki prześcigać się w eksponowaniu poetyckiego dorobku tubylców. Dorobek to zresztą niemały, choć wątpię, czy festiwal jest najwłaściwszym miejscem jego prezentacji tym bardziej, że osiągnięć poetyckich nie da się wymierzyć ilościowo, jak to zresztą w sztuce najczęściej bywa. Może też właśnie dlatego nie da się wyliczyć bezpośrednich korzyści społecznych płynących z faktu, że Łódź jest organizatorem Ogólnopolskich Konkursów na Grafikę Artystyczną, które co dwa lata czynią ją stolicą krajowych poszukiwań w tej dziedzinie twórczości.

Podane przeze mnie przykłady dostatecznie chyba orientują w konwencjonaliźmie założeń Łódzkiej Wiosny Artystycznej, a jest to, trzeba przyznać, umowność dość daleko posunięta. Toteż celowe wydaje mi się postawienie pytania, w jakim stopniu imprezy wiosennego tygodnia kultury odbijają rzeczywiste możliwości środowisk twórczych miasta? W jakiej części są wykładnikiem ich aktualnych poszukiwań artystycznych, co zresztą należy rozumieć bardzo szeroko.

I stawiając w ten sposób pytanie, dostrzeżemy największe paradoksy. Łódzka Wiosna Artystyczna pomyślana jako przegląd dorobku środowisk twórczych miasta, przeglądem takim w rzeczywistości nie była. W gruncie rzeczy bowiem dałoby się wymienić tylko jedną imprezę, która, z grubsza zresztą, odpowiada kryteriom przyjętym w założeniach programowych. Mam na myśli koncert utworów muzycznych kompozytorów łódzkich, ściślej zaś dwa takie koncerty w Filharmonii Łódzkiej. Niestety i w tym wypadku spotka nas srogi zawód. Recenzent „Odgłosów" Mirosław Pietkiewicz pisze o nich: „W obydwu koncertach zabrakło dzieł najbardziej wszechtronnego łódzkiego kompozytora Tomasza Kiesewettera... (...) próba manifestacji twórczej łódzkiego środowiska kompozytorskiego okazała się po prostu nieudana". Natomiast zupełnym nieporozumieniem wydaje mi się pomysł rewii teatralnej w Hali Sportowej, podczas której, jak

WOKÓŁ „BECZKI MIODU..."

Dr TADEUSZ TELMA

LIST DO REDAKTORA

Już od dawna miałem zamiar zwrocic się do Pana Redaktora z prośbą o podjęcie na łamach „Odgłosów" dyskusji nad niektórymi problemami kultury łódzkiej. Moje zamiary zostały wyprzedzone Pana artykułem „W beczce miodu trochę dziegciu", który to artykuł bez wątpienia zasługuje na uważne przestudiowanie. Właściwie artykuł ten powinien zapoczątkować szeroką falę wypowiedzi, tak ze strony ludzi odpowiedzialnych za losy kultury w naszym mieście, jak również ze strony samych jej twórców. Myślę, iż wtedy uzyskalibyśmy konfrontację poglądów i potrzeb, łatwiej byłoby ułożyć wzajemną w przyszłości współpracę, a w każdym bądź razie obie strony wiedziałyby, co „w trawie piszczy". Taki głęboki dialog jest co pewien czas potrzebny. Brakiem dotychczasowym było to, że związki pomiędzy przedstawicielami sztuki a władzami były luźne, niewystarczające. Ludzie kultury czuli, że nikt się nimi bliżej nie interesuje, że kontakt władza — twórca miał miejsce w najlepszym wypadku na premierze teatralnej, koncercie, rzadziej na wystawie, czy imprezie amatorskiej. W takiej sytuacji wielu słusznych propozycji i bolączek tego środowiska nikt nie podejmował, nie rozwiązywał, doprowadzając niektórych twórców do zniechęcenia i w efekcie nawet opuszczenia miasta. Truizmem już jest twierdzenie, że ludziom sztuki trzeba stworzyć dobre warunki pracy, mieszkania, wypoczynku, gdyż w przeciwnym wypadku nie ma co marzyć o dobrych, twórczych wynikach, a przecież naszą ambicją jest, aby w naszym mieście życie kulturalne stało na wysokim poziomie.

Pan red. Koprowski podał przykład b. dyrektora Teatru Nowego Kazimierza Dejmka. Byłem wtedy blisko tej sprawy, chcę powiedzieć, że każdy szanujący się twórca postąpiłby tak jak dyr. Dejmek. Nikt z władz nie chciał wziąć wtedy pod uwagę faktu, że wybitni kierownicy artystyczni teatrów nie rodzą się na kamieniu i że Dejmka nikt w tym teatrze i w Łodzi nie zastąpi. Prawdopodobnie gdyby Dejmek wyjechał miast do Warszawy do Koszalina, czy Zielonej Góry wkrótce powstałby tam teatr znakomity. Wiadomo, że od dobrego kierownika artystycznego w teatrze zależy niemalże wszystko. Dejmek w Teatrze Nowym był tym magnesem, do którego ściągali znani aktorzy ze wszystkich zakątków Polski, nie wyłączając nawet centrum — Warszawy. Brakło Dejmka i sytuację odpływu obserwowaliśmy ze smutkiem przez długie lata. Sprawa Dejmka jest jeszcze o tyle przykra, że był to człowiek, który służył miastu wszechstronną pomocą i miał ogromne ambicje dokonania w nim czegoś wielkiego.

Zgadzam się z poglądem red. Koprowskiego, iż baza materialna dla działalności kulturalnej to nie wszystko, musi być ona jeszcze wypełniona treścią. Ale jak ustosunkować się do tak anormalnej sytuacji, kiedy grupa twórcza jest duża, prężna, ma świetny dorobek artystyczny, a niemalże nie posiada bazy. Mamy tu na myśli środowisko plastyczne Łodzi, które liczy już sobie około pięciuset artystów. Przecież to środowisko, w drugim co do wielkości mieście Polski, nie ma żadnych możliwości wystawiania własnych prac. Dwa pseudo-lokale wystawowe w żadnym wypadku nie zabezpieczą istniejących potrzeb, nie mówiąc już o tym, że Łódź w ostatnim ćwierćwieczu właśnie z uwagi na brak lokalu wystawowego z prawdziwego zdarzenia, ominęły wszystkie ważniejsze wystawy zagraniczne. Każdy człowiek, który śledzi rozwój sztuk plastycznych, wie, że aby zobaczyć coś interesującego z tej dziedziny, musi jechać do Warszawy. I jak tu mówić o upowszechnieniu sztuk plastycznych w mieście, które — nie okłamujmy się — jest w tej dziedzinie twórczej bardzo mało rozmiłowane. Wszystkie dotychczasowe obietnice władz wszelkich szczebli, zawarte w różnych uchwałach i programach o budowie w Łodzi galerii sztuki, nie zostały wykonane. A galeria taka to przecież nie luksusy, jak twierdzą niektórzy, to najprostsza potrzeba dla estetycznego wychowania społeczeństwa, tak jak budynek szkolny jest potrzebny po to, aby mogły się w nim uczyć dzieci. Czy w takiej sytuacji nie będzie dalszego odpływu z tego środowiska wybitnych indywidualności? Słyszę często od malarzy narzekania, że są w tym mieście nikomu niepotrzebni. Jest w tym stanowisku malarzy dużo nadkonformizmu, jednak myślę, że lepiej będzie, jeśli praktycznie dowiedziemy im, że naprawdę tak nie jest, aniżeli uważać ich skargi za wyrzekania bez pokrycia.

Z racji własnej pracy społecznej w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych chcę jeszcze dorzucić kilka zdań na temat sytuacji towarzystw kulturalnych w Łodzi. Jak wiadomo towarzystw tych jest pokaźna ilość, ale działających aktywnie na polu upowszechnienia kultury zaledwie kilka. Te ostatnie z wielkim pożytkiem uzupełniają profesjonalne instytucje kultury, borykając się przy tym z ogromnymi trudnościami.

Ruch społeczny ma formalnie w kraju prawo obywatelstwa. Znane zarządzenie władz centralnych, podkreślające konieczność rozwijania inicjatywy społecznej i popierania wysiłków różnych stowarzyszeń, wydane ostatnio przez Ministra Kultury i Sztuki wręcz nakazuje władzom terenowym zaopiekowanie się stowarzyszeniami kulturalnymi. Spójrzmy jednak, jak to wygląda w naszym mieście.

Wydział Kultury Rady Narodowej m. Łodzi posiada w swoim tegorocznym budżecie kwotę na dotację dla towarzystw kulturalnych w wysokości aż 51 tys. zł. (w r. 1970 było 98 tys. zł.) Praktycznie rzecz biorąc — suma ta zaledwie wystarczy na wsparcie jednego towarzystwa. A co z pozostałymi? Czy Towarzystwo Fotograficzne, Przyjaciół Książki, Muzyczne — może rozwijać się bez jakiegokolwiek wsparcia finansowego? Z przykrością podaję, że przydzielona przez Wydział Finansowy suma na dotację dla towarzystw kulturalnych w Łodzi jest najniższa w Polsce. Nie ma w kraju drugiego miasta wydzielonego lub wojewódzkiego, które by przeznaczało na ten cel tak ubogie środki.

Weźmy inną sprawę. Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych zabiega od dłuższego czasu o własny lokal. Myślę, że nie będę posądzony o zarozumiałość, jeżeli stwierdzę, iż na przestrzeni 15-letniej aktywnej, bezinteresownej, społecznej działalności w tym mieście zasłużyliśmy sobie na taką siedzibę. Dotąd pracę naszą nad upowszechnieniem plastyki rozwijaliśmy w różnych lokalach: teatrach, klubach, domach kultury, bibliotekach. Ale dla rozwoju Towarzystwa potrzebny jest punkt stały, w którym można by prowadzić pracę na najwyższym poziomie i stamtąd dopiero promieniować na teren. Nie możemy prowadzić naszej pracy na zasadzie tymczasowości czy intruza, który się wciska do obcego pomieszczenia. Ostatnio zostaliśmy wyrzuceni z lokalu, w którym najdłużej, z wielkim powodzeniem organizowaliśmy wystawy, spotkało nas to tylko dlatego, że nowy zastępca dyrektora Teatru Nowego (do niedawna odpowiedzialny za losy kultury łódzkiej) uważa, iż obrazy w teatrze są niepotrzebne.

Ostatnia wizyta, jaką delegacja Towarzystwa złożyła przewodniczącemu Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, nastraja nas optymistycznie. Willa przy ul. Wólczańskiej 31/33 ma stać się siedzibą Biura Wystaw Artystycznych, a także Towarzystwa. Oby tylko odpowiednie czynniki, które mają wykonać wolę przewodniczącego, nie zaprzepaściły tej sprawy.

Tych kilka podanych przeze mnie przykładów nie wyczerpuje oczywiście całości zagadnień. Kulturalny ruch społeczny w Łodzi wymaga wszechstronnego poparcia. Wierzę, iż usatysfakcjonuje ono wielu działaczy i wyjdzie z pożytkiem przede wszystkim dla rozwoju działalności kulturalnej w mieście.

JERZY KATARASIŃSKI

INSPIRACJE

Jan Koprowski napisał niedawno w „Odgłosach" „W beczce miodu trochę dziegciu" (13 czerwca br.). że już **„nadeszła pora, aby o sprawach Łodzi kulturalnej mówić pełnym głosem, bez owijania w bawełnę, klajstru i łatwego optymizmu".**

Dobrze, że to stwierdzenie wreszcie się ukazało. Że i tę sprawę „Odgłosy" wzięły na swoje barki.

— Nieco gorzej jednak — stwierdzają co poniektórzy — że poza stwierdzenie „Odgłosy" nie wyszły. — Czyżby pora była jeszcze taka, że na razie można tylko m ó w i ć o m ó w i e n i u, o możliwości mówienia, ale nic poza tym?

Ech, naiwni, nie znający arkanów publicystyki, która chcąc zachęcić czytelników do mówienia pełnym głosem, sama pełnym głosem wcale mówić nie musi. Wystarczą przecież napomknienia, umiejętne pokierowanie uwagą, miejsce między wierszami, prowokacje do dyskusji... Ważny jest cel, a nie metoda, uczył tego już Machiavelli. A czy Jan Koprowski celu swego nie osiąga? Spróbuję to wykazać.

— **„Nie ma co ukrywać** — pisze publicysta — **że w latach minionych, tak przecież niedawnych, Łódź nie miała szczęścia do kierowników życia kulturalnego. Ludzie odpowiedzialni za rozwój i należytą organizację twórczości artystycznej okazywali się nieudolni, niekiedy — niekompetentni, nierzadko — właśnie na sprawy kultury zupełnie obojętni".** Czyż można zanegować tę ocenę? I dalej przytacza J. Koprowski żenujące okoliczności, w jakich, z powodu niedoceniania przez władze, odchodzili z Łodzi wartościowi artyści. Tadeusz Paciorkiewicz, któremu jeden z byłych wiceprzewodniczących Prez. RN m. Łodzi odmówił przydzielenia mieszkania zapewniającego znośne warunki do pracy kompozytorskiej. Kazimierz Dejmek, z pominiętymi przez władze milczeniem, planami wykorzystania gmachu Teatru Wielkiego, itd, itp.

No i co?

Pisze Jan Koprowski niby o brzydkich władzach, ale przecież on nie idzie na łatwiznę, wie że czytają go ludzie myślący, inteligentni, chwytający w lot intencje publicysty. Wie, że takie postawienie sprawy byłoby samousprawiedliwieniem. Wie, że czytelnicy pomyślą sobie zaraz — no dobrze, a gdzie koledzy Dejmka i Paciorkiewicza, gdzie środowisko muzyczne, gdzie środowisko teatralne, które pozwoliło tak sobą pomiatać. Gdzież zarządy stowarzyszeń twórczych, dbałe o dobro kultury... Czy tak z ręką na sercu, mogą powiedzieć, że zrobiły wszystko, nawet w ramach tzw. możliwości, aby oczyścić tę niedobrą atmosferę? Inteligentni czytelnicy będą dalej snuli myśli podsunięte przez J. Koprowskiego. Przypomną sobie, jak to wcale nie władze nie chciały w Łodzi Skuszanki, jak to wcale nie przez władze opuścił Łódź Jerzy Nowosielski, jak to wcale nie władze nie dopuszczały do teatrów reżyserów spoza wąziutkiego klanu, itd., itp. I będą się w sprawę wmyślać jeszcze głębiej — że widocznie zło tkwiło także — a czy nie tkwi i dziś — w środowiskach twórczych, dopuszczających do głosu wielu potakiewiczów, konformistów, ludzi dbałych przede wszystkim o własne dobro.

I czy nie wystarczy, że Jan Koprowski napisze część prawdy, abyśmy sami sobie dopowiedzieli drugą połowę, a przynajmniej ćwiartkę?

Poprawiłem na ćwiartkę, bo przecież to, co powyżej wydedukowałem, to jeszcze nie wszystko. Termin „kierownicy życia kulturalnego", używany przez redaktora „Odgłosów", jest bardzo szeroki, nie obejmuje wyłącznie członków byłych najwyższych władz kulturalnych miasta, o czym możemy się przekonać w innym miejscu tego artykułu, kiedy napomyka, że **„jeśli mówimy o kadrach w kulturze (chyba o kadrach w ogóle), należy mieć na uwadze wszystkie kadr tych stopnie: od samej góry, aż do samego dołu".** A więc — wyszczególniam na własną rękę — jeśli chodzi o kadry kierownicze, to również chyba np. o kierowników domów kultury, redaktorów pism, dyrektorów teatrów, muzeów itp., dla których zły przykład z góry **„był inspiracją do nieangażowania się, do nierozwijania samodzielnej inicjatywy w ich poczynaniach".** I znów inteligentny czytelnik wydedukuje właściwy adres ataku: cóż to bowiem za kierownicy, redaktorzy, dyrektorzy, którzy tak łatwo dają się inspirować do niezaangażowania, cóż to za kadry kierownicze, jeśli tak łatwo dają się zepsuć przez władze...

— **„W działalności kulturotwórczej, może bardziej niż w innych dziedzinach życia** — pisze J. Koprowski — **wiele zależy od ludzi, od ich zaangażowania, samodzielności, odwagi. No i, naturalnie, od znajomości rzeczy. Od czasu, gdy kierownictwo Muzeum Sztuki Współczesnej objął Ryszard Stanisławski, placówka ta stała się zaczynem wielu ciekawych inicjatyw..."** Co wyczytuję między wierszami? — Że wcale nie tylko władze winne są zła w życiu kulturalnym naszego miasta. Stanisławskiemu bowiem i złe władze nie zaszkodziły, wystarczyło, że był zaangażowany, samodzielny, odważny, no i, naturalnie, znał się na rzeczy...

I w ten sposób Jan Koprowski, mówiąc półgłosem, niby to obarczając winą byłe władze, sprawia, że czytelnicy, powodując się własnym rozumem, poznają całą prawdę o przyczynach zła... Dawno już nie wyczytałem z żadnego pisma, jak ostatnio z „Odgłosów", tak prawdziwej, surowej, tak w wielu momentach samokrytycznej oceny.

JERZY KATARASIŃSKI

P. S. Jeśli wyczytałem zbyt wiele, albo niezgodnie może z intencjami autora artykułu (choć nie mógłbym w to uwierzyć), nie moja to wina. Tak mnie zainspirował, w tę stronę, półgłosem, poprowadził moje myśli. J. K.

z wiosną

to radośnie podaje się w programie, zostały zaprezentowane „fragmenty sztuk teatralnych, granych w ostatnim sezonie w teatrach łódzkich". Nie stanowi chyba dostatecznego usprawiedliwienia fakt, że dochód z Wiosennego Festynu Teatralnego, pod którą to nazwą kryje się wspomniana rewia, przeznaczono na odbudowę Zamku Królewskiego. Dbałości o narodowe dobro kultury nie może przecież towarzyszyć absolutne lekceważenie równie ważnej wartości jaką jest spektakl teatralny rządzący się określonymi prawami dramaturgii, który dopiero przedstawiony w całości może przynieść zamierzony efekt artystyczny.

Lista imprez zawartych w „Programie" Łódzkiej Wiosny Artystycznej, zarówno tych głównych, wiodących, jak też „towarzyszących" jest zresztą znacznie dłuższa, choć najczęściej przynosi zapowiedzi rzeczy miałkich i nieistotnych, a w każdym razie zupełnie niereprezentatywnych, jakby dobieranych na zasadzie negatywnej metody selekcji. Wystarczy wskazać choćby VI Łódzką Giełdę Piosenek i Piosenkarzy, o której czytamy w recenzji Pietkiewicza: „Rzewnie się robiło na duszy podczas występów quasi-Niemenów i niby-Sipińskich, żal robiło się zmarnowanych wysiłków, włożonych w napisanie jeszcze nastu piosenek."

I w związku z tą imprezą warto ujawnić pewne charakterystyczne, choć niestety bardzo negatywne przejawy polityki kulturalnej w mieście. Leży przede mną dokument arcyciekawy pod nazwą „Preliminarz wydatków związanych z organizacją imprezy III Łódzkiej Wiosny Artystycznej". Można z niego wyczytać, że na przykład koszt ogólny VI Giełdy Piosenek i Piosenkarzy zamyka się kwotą 55.000 złotych, do której Wydział Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi wniósł sumę 5.000 złotych. Można także wyczytać, że koncert amatorskich zespołów artystycznych na Estradzie Robotniczej kosztował zaledwie 10.000 złotych, choć była to impreza w porównaniu z Giełdą wartościowsza artystycznie, a co ważniejsze stanowiła autentyczny przejaw poszukiwań twórczych ruchu amatorskiego w środowisku klasy robotniczej. Zastanawiam się czy rzeczywiście poświęcamy dostatecznie wiele uwagi temu ruchowi i czy dostatecznie wiele na jego rozwój łożymy. Wystarczy powiedzieć, że, jak to wynika z „preliminarza", stać nas na wykonanie pudełek do medali za 2.000 złotych, podczas gdy z trudem potrafimy wysupłać 3.500 złotych na program folklorystyczny w wykonaniu amatorów skupionych w Łódzkim Domu Kultury.

Pragnąłbym na zakończenie swoje dotychczasowe uwagi jakoś uogólnić, aby pełniej ukazać intencje mego artykułu. Otóż nie ulega wątpliwości, że Wiosny Artystyczne stanowią kosztowny przejaw ambicji działaczy kulturalnych; że służą raczej sprawie „wykazania się" niż automatycznej twórczej inspiracji; że są pogrobowcem epoki fasadowości, jak o tym świadczy sama ich nazwa. Nieporównywalność zaprezentowanych zjawisk, nieokreśloność kryteriów, brak selekcji sprawiają, że w istocie Wiosny te przeradzają się w swoje przeciwieństwo, że działają dezintegrująco w środowiskach twórczych. Tak realizowane Wiosny stają się hamulcem ruchu artystycznego, bardzo kosztowną zabawą w festiwal nie dopracowanych pomysłów i nie przemyślanych koncepcji. Koncentracja imprez sprawia także, że w istocie Wiosny te niczego nie popularyzują. Jeśli to ma być wiosna.. Cóż, wolę raczej inną porę roku.

KONRAD FREJDLICH

OD REDAKCJI: Nie we wszystkich punktach podzielamy uwagi K. Frejdlicha. Wydaje nam się jednak, że sprawa Wiosny Artystycznej domaga się przedyskutowania. Zapraszamy więc do dyskusji na ten temat.

ANTONI SZRAM

Spór o zabytki

CZY SĄ ZABYTKI W ŁODZI?

Nie uporządkowany wiek XX — okres żywiołowego rozwoju nauki i techniki, rozkwitu architektury budynków, energii wodno-elektrycznej, komunikacji, sportu, mieszkań, wnętrz i maszyn — rysuje portret Łodzi. Spekulacyjne kamienice fin de siecle'u z ulicy Piotrkowskiej, Moniuszki, Jaracza, Gdańskiej, Włókienniczej, zabudowa architektury przemysłowej „Księży Młyn", Zakładów Marchlewskiego, sakralna architektura cmentarzy i kościołów, wszystkie te obiekty, jeśli nawet słabsze architektonicznie, są skazane na skansenową przyszłość. Kiedyś będą nie mniej warte podziwu, niż rzymskie akwedukty, nie tylko nie zniszczą krajobrazu (środowiska), ale upoetycznią go jeszcze. Rodziny fabrykantów budowały bez gustu swoją nową Arkadię — przemysłową Łódź. Miasto kontrastów, miasto inne niż wszystkie miasta Europy. Tej inności łodzianie nie uświadomili sobie, dlatego dotąd nie opracowano programu skutecznych posunięć w celu zlikwidowania opinii: brzydkie miasto.

W okresie, gdy historycy sztuki zaczynali dopiero uczyć się, czym jest uprzemysłowienie, autorzy broszur i raportów prześcigają się w rzucaniu na miasto oskarżeń, wskazują źródło zła i pomyłek. Ci ludzie wnoszą do życia publicznego swe prywatne przesądy — jeśli tylko są one zgodne z prądami epoki — a wzgardzona architektura i budownictwo przemysłowe pozostają poza zasięgiem planów ewidencji i nadziei... fachowej konserwacji lub rewaloryzacji.

Łódź zabytkową trzeba ratować. Problem ten jednak traktuje się dość obojętnie. Skąd się bierze ta obojętność? Moim zdaniem jednym z powodów jest to, że większości łodzian nie przyszło nawet na myśl, iż ich zabytki architektury przemysłowej, parki, cmentarze zasługują na to, by je naukowo i kompleksowo modernizować, by je ulepszać i upowszechniać wśród turystów. Można przecież umiejętnie zharmonizować nowoczesne z zabytkowym (szanując dekoracje unikalnych elewacji, wnętrz, zespoły reprezentujące style historyczne (neogotyk, neorenesans), secesję, modernizm, konstruktywizm).

Trzeba miasto poznać. Muszą być ustalone mechanizmy działania. Prace te służba konserwatorska podjęła już w dwóch zasadniczych kierunkach — pierwszym, stworzenia nowego spisu, a później katalogu architektury zabytkowej Łodzi i opracowania studium urbanistyczno - konserwatorskiego stref ochrony miasta oraz drugim — uzyskania możliwie obszernej dokumentacji fotograficznej, uwzględniającej poszczególne elewacje, wnętrza, jak i ciekawsze detale i elementy konstrukcyjne budownictwa przemysłowego. Dopiero tak obszerny materiał pozwala na pełną i wszechstronną analizę architektury omawianego okresu, a tym samym na ustalenie właściwej rangi obiektów zabytkowych, które trzeba uznać za dobra kultury miasta. W obrębie zabudowy nowoczesnej — planu ogólnego — dzieła autentycznego dziewietnastowieczа w najcharakterystyczniejszych elementach powinny przetrwać w jak najlepszym stanie dla przyszłych pokoleń — jako świadectwo ciągłości procesu rozwojowego rewolucji proletariackiej — tak istotnej dla naszej kultury narodowej. Onegdaj rozmawiałem z miejskim przewodnikiem; ustalił trasę wycieczki „na żywo", bez konkretnego programu zwiedzania Łodzi — trudno mu się dziwić. Ale wtedy nie można marzyć o uniknięciu jednostronności w prezentowaniu miasta, bowiem cały plan wycieczki sprowadzał się do omawiania anegdot historycznej przeszłości, związanej z nie najbardziej reprezentatywnymi obiektami. Nie widział Łodzi ów przewodnik w czasie dzisiejszym — nie interpretował również tradycji proletariackiej. W niewielkim stopniu poznał zasady procesów urbanizacji, tkwiących u podłoża myśli ludzkiej, czy, chociażby, estetyki. Przyczyna — brak opracowań. Inaczej, mówiąc, nie znamy dokładnie łódzkich geometrów, urbanistów, architektów, projektantów, budowniczych gigantycznych przędzalni włókienniczych, obiektów przemysłowych.

Mamy wszelkie podstawy sądzić, że olbrzymie postępy w budownictwie wielobranżowego przemysłu staną się niedługo bodźcem do badań podstawowych, historycznych. W niedługim czasie punktem wyjściowym będą właśnie „archiwalia" włókienniczej Łodzi, otworzą się zupełnie nowe dziedziny badań muzealnych.

Historia budownictwa przemysłowego wymaga badań wielobranżowych; różne rodzaje zagadnień produkcyjnych i architektonicznych stanowią niesłychanie frapujący, nie mniej złożony system sprzężonych i zwrotnych analiz naukowych, które często bez współpracy inżyniera, technologa, socjologa, matematyka, ekonomisty, statystyka czy futurologa stają się dla historyka sztuki niedostępne.

Wszelki postęp w badaniach historycznych budownictwa przemysłowego zależy dziś od powiązania do niedawna zupełnie odrębnych dziedzin wiedzy: spojrzenia na to samo zjawisko oczami ludzi o różnym wykształceniu i różnym podejściu do tego samego problemu. Powracam teraz do pytania, które już postawiłem: czy są zabytki w Łodzi? Odpowiadam bez wahania, że tak. W pierwszej i drugiej grupie zabytków znalazły się aż cztery zakłady produkcyjne z połowy i schyłku XIX wieku, które są niezwykle cennym dokumentem rozwoju technicznego i warunków pracy robotników. Natomiast poziom warunków bytowych przedstawiają nam zespoły domów tkaczy i kolonie mieszkaniowe robotników i urzędników nieopodal fabryk przemysłowców; najbardziej reprezentatywną jest zabudowa „Księżego Młyna".

Spacer po byłym „Pfafendorfie" może uświadomić turyście więcej niż wielogodzinne lekcje historii kapitalizmu czyli dziejów łódzkiego proletariatu. Pozna on tu historię stosunków społeczno-gospodarczych na przykładach, nie reprezentują one czołowych dzieł sztuki, wznoszonych przez magnatów świeckich i duchownych — dzieł klasy robotniczej, dzieł ludu pracującego, dzieł obrazujących ich życie. Prawdziwy obraz stosunków społecznych minionych epok przedstawiają nie tylko pałace magnackie czy świątynie, lecz domy i mieszkania ludzi pracy, zakłady produkcyjne i narzędzia produkcji. Wszystko to pozwala nam przedstawić ówczesne warunki cywilizacyjne i społeczne.

Hasła: „Zabytkowa Łódź" nie znają światowe encyklopedie. Trzeba je tam wpisać. Sprowokuje to powstanie biblioteki wiedzy o Łodzi, potrzebnej serii łodzianów.

POLONICA

O POLSKIEJ POWIEŚCI

Francuscy pocztowcy mają własne towarzystwo literackie, skupiające miłośników piśmiennictwa. A także — swój własny kwartalnik, skromnie nazwany „Bulletin de la Societe Litteraire des PTT", wydawany na świetnym papierze przy współpracy najsłynniejszych krytyków (np. Robert Kanters). W 98 zeszycie tego pisma zamieszczono ciekawy artykuł Rogera Bourila pt. „Spojrzenie na polską powieść współczesną'. Autor omawia trzy polskie książki, których przekłady opublikowano we Francji: Romana Bratnego, Marii Rutkiewicz, Adolfa Rudnickiego. W konkluzji stwierdza recenzent, że współczesna polska proza pozwala odkryć siłę, jasność myśli i piękno bardzo bliskie tym wartościom, które są drogie francuskiemu czytelnikowi.

W. N.

POLONICA

TV OBIEKTYW

NA EKRANIE — ŻUKOWSKI

Jak co roku latem — rozpoczął się Telewizyjny Festiwal Teatrów Dramatycznych. Stwarza on teatrom, zwłaszcza tym z dalekiej prowincji, szansę zaprezentowania swoich spektakli całemu krajowi. Uczestniczą w festiwalu także teatry z dużych ośrodków. Tegoroczny pokaz zapoczątkował łódzki Teatr im. Jaracza sztuką Maksyma Gorkiego „Jegor Bułyczow i inni".

Telewizyjny Festiwal Teatrów Dramatycznych skutecznie wypełnia martwy sezon urlopowy, kiedy w studiach telewizji nie przygotowuje się nowych spektakli. Wprawdzie można by też załatać tę dwumiesięczną lukę powtórzeniami widowisk teatralnych zarejestrowanych na telerekordingu lub na magnetowidzie, ale taśmoteka telewizyjna nie jest wciąż jeszcze dostatecznie bogata.

Mankamentem festiwalu jest fakt, że prezentowane przedstawienia powstały bez myśli o małym ekranie. Są do tego celu zaledwie przystosowane. Tak więc na przykład inauguracyjny spektakl „Jegora Bułyczowa" posiadał pod względem telewizyjnym poważne braki. Szczególnie w warstwie dźwiękowej występowały zakłócenia. Znaczny procent tekstu wypowiadanego przez wykonawców docierał do naszych uszu w formie zniekształconej, lub wręcz nieartykułowanej.

Wszystkie te usterki daruję jednak telewizji i teatrowi, gdyż wynagrodziła je z nawiązką kreacja Feliksa Żukowskiego w roli tytułowej. Żukowski, nazywany przez kolegów zdrobniale Żukiem, postać Bułyczowa zaliczyć może do najwybitniejszych swych dokonań artystycznych.

Sztuka Maksyma Gorkiego, napisana w 1932 roku, stanowi dość luźną w sensie dramaturgicznym sekwencję scen, składających się na obraz konania człowieka i jednocześnie ustroju carskiego. Jest w niej tonacja panichidy, nabożeństwa żałobnego. Obumieranie i śmierć wyziera spoza każdego niemal słowa.

Jegor Bułyczow w zamyśle Gorkiego jest równocześnie człowiekiem z krwi i kości oraz symbolem odchodzącego dawnego ustroju. Taki podwójny charakter postaci stwarza aktorowi niełatwe zadanie interpretacyjne. Poprzestanie na naturalistycznym wymiarze Bułyczowa zubożyłoby wymowę znaczącą przedstawienia. Jednocześnie zaś odebranie Jegorowi cech ludzkich sprowadziłoby całość na tory deklaratywności i rezonerstwa.

Feliks Żukowski szuka skutecznie środków, które pozwoliłyby uniknąć obu niebezpieczeństw. Nie przerysowując postaci, stopniowo nasilając dynamikę gry, buduje postać sceniczną pełną wyrazu i głębokiego sensu. Przez cały czas spektaklu wydaje się kontrolować wszystko, co się wokół Bułyczowa rozgrywa. Czuje się jakgdyby jego obecność nawet wtedy, gdy go nie ma na scenie. (W przypadku telewizyjnej transmisji chodzi, oczywiście nie o scenę, a o przestrzeń w zasięgu kamer.)

W paru scenach, jak na przykład w rozmowie z przeoryszą Mielanią, lub trębaczem Gawrilą, aktorstwo Żukowskiego osiąga apogeum. W przeciwieństwie do niektórych swoich partnerów nie zapomina, że gra do kamer telewizyjnych, powściąga ekspresyjność, nie zakrzykuje mikrofonu. Ten umiar w środkach wyrazowych służy rozbudowie wnętrza postaci, nadaniu jej wielowarstwowej struktury.

Przedstawienie „Jegora Bułyczowa" w telewizji uznać można za prawdziwy benefis aktorski Feliksa Żukowskiego. Przyjemnie też stwierdzić, że benefis ten odbywał się na oczach całej Polski.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

ANGIELSKI film „DZIKI I SWOBODNY" reż. R. C. Sarafiana był wyświetlany na międzynarodowym konkursie filmów dziecięcych, jaki w 1969 roku towarzyszył Festiwalowi Moskiewskiemu. Odtwórca głównej roli, jedenastoletni wówczas Mark Lester, zdobył tam srebrny medal i być może dlatego, „Dziki i swobodny" uchodzi za film dla dzieci. Czy jest nim rzeczywiście? Tak — pod warunkiem, że za utwory przeznaczone dla dzieci uznamy również jego wielkich poprzedników: „Kasztanka" Johna Steinbecka w literaturze i „Białą grzywę" Alberta Lamorisse'a w kinematografii.

„Kasztanek" i „Biała grzywa" przychodzą tu na myśl z dwóch przyczyn. Po pierwsze ze względu na podobieństwo tematu. We wszystkich trzech utworach jest mowa o miłości dziecka do zwierzęcia, która musi zastąpić dziecku miłość do ludzi. Drugi powód to szczęśliwe ominięcie raf sentymentalizmu, które przy tego rodzaju temacie grożą autorowi prawie nieuchronnie i których pokonanie stanowi o randze utworu.

„Kasztanek" Steinbecka powstał w roku 1938, „Biała grzywa" Lamorisse'a w 1952. Ciekawe, że „Dziki i swobodny" zdaje się bliższy „Kasztankowi" ulepionemu z innej, bo literackiej gliny, niż „Białej grzywie", która mniej niż książka oddala się od niego w czasie i która także jest filmem. Tłumaczę to sobie pewną trudną do wyrażenia cechą, obecną zarówno w książce Steinbecka, jak w filmie Sarafiana. Oba utwory mobilizują mianowicie naszą, widzów, wiedzę o życiu, nasze życiowe doświadczenie. Dzięki temu to, co opisane expressis verbis i to, co pokazane w obrazach filmowych, jest jakby podbudowane treścią niby nie istniejącą, ale wyczuwalną między wierszami i poza kadrem. Jest to treść realistyczna — i poezja opowieści wspiera się i nabiera goryczy od życiowych realiów.

Inaczej w „Białej grzywie", gdzie smutek zdawał się transcendentny, oderwany od ziemi, powiedzmy to tak — duchowy. Dojmująco prawdziwy świat nerwic dziecięcych pulsuje za obrazami „Dzikiego i swobodnego" tak, jak w „Kasztanku" głód i nędza Salinas. Oczarowani chłopcem, konikiem i pejzażem nie możemy zapomnieć o złych stronach współczesnej cywilizacji, ponieważ to one dały początek całej historii.

ZŁO współczesnej cywilizacji trwa jako przyczyna sprawcza wydarzeń opowiedzianych w szwedzkim filmie **„JANKES"**. Rzecz znowu dotyczy młodzieży — tyle, że jest to młodzież z marginesu społecznego, gdy bohaterem „Dzikiego i swobodnego" był chłopiec z marginesu, nazwijmy to tak, psychologicznego, wyróżniający się nadmiarem, nie zaś niedostatkiem wrażliwości.

W przeciwieństwie do „Dzikiego i swobodnego" „Jankes" nie ma zdolności katharytycznej, nie wyzwala od żadnej troski i zmory. Dzieje się tak właśnie wskutek uczuciowej pustki bohaterów, bardziej bezmyślnych kukieł — czy wiązek zmysłów — niż ludzi. Uwikłani w wątek fabularny banalny i melodramatyczny reagują (bądź ściślej, nie reagują wcale) w sposób, do jakiego nie zdążyliśmy i nie chcemy się przyzwyczaić.

Nie jest to zarzut wobec filmu, ale jego zaleta. Realistyczna obserwacja nie stanowi w dziele reżysera-dziennikarza Larsa Forsberga niewidocznego podłoża. Odwrotnie, nasyca każdy obraz, czyn i gest ludzi. I paradoksalnie, zamiast pomóc widzowi zrozumieć, co ogląda, zostawia go zdumionym, niespokojnym, oszołomionym nawet.

Na przykładzie „Jankesa" widać ogromny krok naprzód, jaki poprzez etapy nowych fal, cinema verite i cinema direct uczyniło kino. Historie o niezamężnych matkach i zapijaczonych złodziejaszkach często pojawiały się w kinie. Jednakże scenarzyści podrzadkowywali je i doprowadzali do rozwiązania szczęśliwego, czyli zgodnego z utartym tokiem myślenia i odczuwania. Naturalnie, kino uciekało wtedy od życia. Teraz kamery wciskają się w jego gąszcz i nieiasność.

Zobaczcie oba omówione dzisiaj filmy, jeśli szukacie w kinie czegoś więcej niż beztroskiej rozrywki.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

POŻEGNANIE Z SINATRĄ?

Pięć lat temu, w styczniu 1966 r. ilustrowane tygodniki, niemal na całym świecie, reprodukowały wielkie zdjęcia małżeńskiej

Frank Sinatra z żoną Avą Gardner (1951)

pary: on, pan około pięćdziesiątki i ona, piękna dziewczyna, młodsza od swego małżonka o lat dwadzieścia dziewięć. Było to zdjęcie słynnego piosenkarza i aktora, Franka Sinatry z młodziutką aktorką, Mia Farrow. Ta trzecia żona Sinatry niemal od dziecka marzyła o karierze filmowej. Wielkiej karierze. Mając lat siedemnaście występowała już w głównej roli w telewizyjnym serialu amerykańskiej TV. O swym pierwszym spotkaniu z Sinatrą tak opowiadała później Mia: „Zobaczyłam go i pomyślałam: jakiż to atrakcyjny mężczyzna. I tak się to zaczęło".

Tak się to zaczęło, a skończyło dość szybko. Zaraz po ślubie w Las Vegas młoda para odlatuje prywatnym samolotem Sinatry do Palm Springs, potem do Nowego Jorku i Londynu. Kończą się trzy miodowe miesiące i zaczyna praca. Mia Farrow zostaje zaangażowana do głównej roli w filmie nakręcanym w Londynie przez Lawrence Harveya. Praca nad filmem trwa osiem tygodni. Przez cały ten czas Mia ani razu nie widzi się z mężem. Jej stałym i nieodłącznym towarzyszem jest Lawrence. Z nim podróżuje, odwiedza Paryż i odbywającą się tam rewię mód, z nim tańczy w barach i nocnych lokalach, gdzie pije i gdzie wścibscy fotoreporterzy utrwalają na kliszach jej obecność. Po 487 dniach małżeństwo Mii z Sinatrą rozpada się definitywnie. Podobno spór z mężem powstał m.in. o to, że Farrow nie chciała mieć dzieci ze względu na swą karierę aktorską. „Nie mam szczęścia do kobiet" — stwierdzi potem smętnie Sinatra i doda: „Natykam się z pewnością zawsze na niewłaściwą kobietę. To już jest mój pech". Dziwne to stwierdzenie w ustach człowieka, który jest niemal symbolem donżuana. Na liście jego kochanek figurują setki aktorek, gwiazdek ekranu, sekretarek, sprzedawczyń papierosów.

Frank Sinatra — był i jest popularny, sławny, lubiany. Miljoner, którego nagrania płytowe były i są dosłownie rozchwytywane. Sinatra — człowiek którego piosenki uwielbiały dwie generacje, trubadur lat trzydziestych, artysta którego głos nie sposób pomylić z innym. Życie i karierę tego piosenkarza i aktora włosko-amerykańskiego pochodzenia przypominają teraz ilustrowane tygodniki, ponieważ Frank Sinatra oznajmił ostatnio, że wycofuje się z kariery piosenkarskiej i aktorskiej. Co zamierza robić? Ma pięćdziesiąt pięć lat, jest zdrów i pełen energii jak zawsze. Twierdzi, że chce się poświęcić życiu rodzinnemu. Jakiemu? Jest rozwiedziony ze swymi trzema żonami, a jego troje dzieci jest już dorosłych. Chce, jak również twierdzi, czytać książki w ciszy i spokoju. Jakie książki? Frank Sinatra nigdy nie był wybitnym intelektualistą. Chce, powiedział innym razem, trochę uczyć śpiewu. Ale kogo? Dzisiejsi piosenkarze mają już inny styl, niż on, bożyszcze i gwiazda lat trzydziestych. „Muszę nareszcie mieć czas — powiada — na przykład dla dziewcząt, albo po to by wybudować sobie domy, tam gdzie dotąd ich nie mam".

Czy Frank Sinatra naprawdę zniknie z estrady? Czy rzeczywiście odpoczywać będzie w zaciszy swego domu? Wątpią w to ci, co go dobrze znają. Mówią, że nawet on sam w to nie wierzy, choć wydaje w Hollywood przyjęcia pożegnalne.

Frank Sinatra

W 525 ROCZNICĘ ŚMIERCI FILIPPA BRUNELLESCHI

Florencja czciła niedawno pięćset dwudziestą piątą rocznicę śmierci Filippa Brunelleschi (1377—1446) pierwszego spośród wybitnych architektów włoskiego Odrodzenia.

Urodził się we Florencji jako syn notariusza. Początkowo praktykuje u złotnika. Interesuje się także rzeźbą. W latach 1402 do 1405 Filippo Brunelleschi przebywa wraz z Donatellim w Rzymie, gdzie intensywnie studiuje sztukę antyczną i architekturę. W roku 1417 prowadzi budowę katedry we Florencji. Konstruuje wówczas

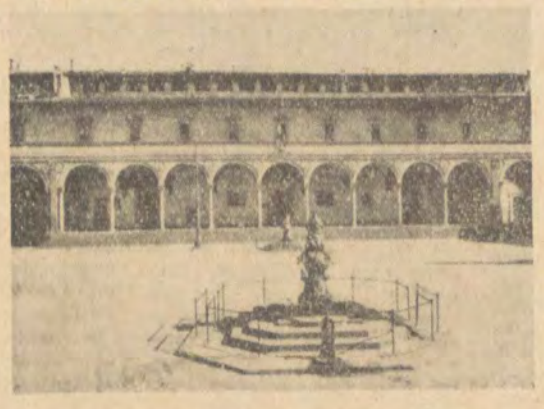

Dzieło Filippa Brunelleschi: budynek Ospedale degli Innocenti we Florencji

Sztuka budownicza Brunelleschi'ego znalazła licznych naśladowców.

COLETTE RENARD

Colette Renard jest świetną francuską piosenkarką o wspaniałym, dobrze wyszkolonym głosie. A ponad wszystko jej piosenki mają ogromnie dużo wdzięku. Dużo też wdzięku ma sama Colette. Wszyscy, którzy ją widzieli są oczarowani jej uśmiechem, promienną twarzą, sposobem bycia. Obecnie teatrzyk paryski „La Potiniere" jest miejscem, gdzie paryska publiczność może posłuchać tej wybitnej, choć nie wiadomo dlaczego stosunkowo mało znanej piosenkarki. Colette występuje z programem pod ogólnym tytułem „Les femmes et la mer". Śpiewa piosenki o marynarzach i ich dziewczętach, odgrywa także kilka zabawnych skeczów.

Trudna była droga Colette do kariery śpiewaczej. Bywało, że musiała pracować jako maszynistka w biurze czy pielęgniarka rezygnując chwilowo ze śpiewania. Nie najlepiej też powiodło się jej w życiu prywatnym. A pięć lat temu głośno było o Colette Renard w Paryżu. Prasa zapowiadała rewelację — Colette Renard, żona Raymonda Legranda (nie

Colette Renard

mylić z jego synem, znanym kompozytorem, autorem m.in. muzyki do filmu „Parasolki z Cherbourga") wystąpi w wielkim widowisku pod gołym niebem w roli Joanny d'Arc. Raymond Legrand marzył o wielkim sukcesie. Rozpisywano się, że studiował przez lata historię Joanny d'Arc i doszedł do jakichś historycznych rewelacji. Teraz w wielkim widowisku, dla którego Raymond Legrand napisał scenariusz i muzykę, ujawni owe rewelacje. Colette w roli Joanny miała dosiąść konia i śpiewać.

Rozreklamowane widowisko odbyło się. Tylko, że... przyniosło kompletną „klapę". Pozostały ogromne długi, które Legrandowie musieli spłacać. I wtedy Legrand przepadł bez wieści. Na brzegu rzeki pozostał jego samochód. Samobójstwo? Zrozpaczona Colette nie wierzyła w to i uporczywie szukała zaginionego małżonka. Po paru dniach Legrand odnalazł się w Belgii, dokąd natychmiast pojechała Colette. Podobno miał szok nerwowy i leżał w szpitalu. W jakiś czas potem prasa doniosła, że małżeństwo rozpadło się.

DO PALENIA W NIM TAKŻE SIĘ NADAJE...

— pod takim tytułem miesięcznik „Die Kunst und das schone Heim" donosi o oryginalnych, artystycznie wykonanych piecach.

Bukareszteński malarz i ceramik Jon Minoiu powziął myśl, aby ożywić tradycyjną i zarzuconą już sztukę przyozdabiania pieców barwnymi kafelkami. Minoiu czyni to w sposób nowoczesny. Rezultat, jak stwierdza „Die Kunst", jest zaskakujący i świetnie się nadaje do nowoczesnego urządzenia wnętrza.

Artysta był dotąd znany i zdobył sobie wzięcie na międzynarodowych wystawach ceramiki, fresków i mozaiki. Teraz, jego piece z barwnie i nowocześnie malowanymi kaflami, są prawdziwymi dziełami sztuki. Ręcznie malowane kafle nie są produktem seryjnym, a każdy piec przedstawia jakąś inną kompozycję malarską.

Bez strachu

KIEDY WSZYSCY ZAMKNĄ OCZY

Zjawa: Siedzi na fotelu koło mojego łóżka

Ja: Leżę w łóżku, oczy mam otwarte.

Zjawa: Milczy.

Ja: Kim jesteś, dlaczego milczysz?

Zjawa: Jestem zjawa i oto już mówię.

Ja: Czyją jesteś zjawą?

Zjawa: Własną, jestem zjawą zjawową.

Ja: Dlaczego mnie się zjawiasz?

Zjawa: Nie zjawiam się tobie. Ja istnieję tylko o tyle, o ile się zjawiam.

Ja: Wszystko to dość mętne, nierzeczywiste.

Zjawa: Bo ja jestem nierzeczywista.

Ja: Nie jesteś zatem zjawą Jana, Piotra, Brygidy?

Zjawa: Nie. Podobnie jak nie jestem zjawą psa, stołu, krzesła.

Ja: A zatem czyją zjawą jesteś?

Zjawa: Ciągle nie możesz pojąć, że jestem zjawą prawdziwą, zjawą zjawową. Nie jestem ani Janem, który się zjawił, ani stołem, który się zjawił. Nie ma ze mną nikogo, ani niczego, co ja reprezentuję. Reprezentuję tylko siebie — zjawę.

Ja: Drwisz sobie z fenomenów i ustaleń ludzkiej natury. Oto złoty deszcz był zjawą Zeusa. Oto zjawa, która zjawiła się duńskiemu królewiczowi, koło zamku w Elsynorze, była zjawą króla. A ty — bądź, proszę, zjawą kanapy, uplorem mola.

Zjawa: Nie i po stokroć nie,

Ja: Kim więc jesteś?

Zjawa: Jestem zjawą. Dla twego spokoju mogę być zjawą zjawy.

Ja: Nareszcie coś, co rozumiem, a raczej coś, czego nigdy nie mogłem zrozumieć. Coś mianowicie z algebry. Zjawa do kwadratu. „Potęga potęgi..."

Zjawa: Jestem zjawą, a nie potęgą.

Ja: „...równa się potędze, której potęga jest ta sama, a iloczyn..."

Zjawa: Nie jestem zjawą matematyki.

Ja: Patrzę na ciebie i

widzę cię i rozmawiam z tobą, czy dlatego, że zjadłem zbyt obfitą kolację?

Zjawa: Zamknij oczy i zatkaj uszy.

Ja: Jednak jesteś, już wiem, jesteś zjawą mego milczenia i mej ślepoty.

Zjawa: W tej chwili wielu ludzi, którzy jeszcze całkowicie się nie dobudzili, a już nie śpią, widzi mnie koło swych łóżek — już za minutę będą się wstydzili pamięci o mnie.

Ja: Nie znikaj jeszcze, odpowiedz mi, co będzie, gdy wszyscy, wszyscy zamkną oczy.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

GROCH Z KAPUSTĄ

TAJEMNICA ZAWODOWA — ZNAJOMI LUDZIE I ATMOSFERA — PODRÓŻ DYLIŻANSEM — WĘDRÓWKA PO PRZEŁOMIE WIEKÓW — RYBKA MNIEJSZA NIŻ NAZWA — ZMYŚLENIA I BREDNIE — WITAMINA H

Istnieje pewne trzytomowe dzieło, które traktuję jako moją prywatną tajemnicę zawodową felietonisty. W dziele tym, opatrzonym indeksem rzeczowym — pomieszczono setki ciekawostek, kuriozów, notatek prasowych, anegdot, faktów i fakcików z archiwum kultury. Dla felietonisty jest to rzecz bezcenna — stoją więc te książki zawsze w zasięgu mojej ręki.

Stała się jednak rzecz straszna. Wydane w maleńkim nakładzie przed wielu laty dzieło trafiło do rąk Jerzego Afanasjewa. Mogę więc dziś powiedzieć, że chodzi tu o trzy tomy panopticum i archiwum kultury pt. „Cicer cum caule czyli groch z kapustą", zebrane przez Juliana Tuwima. Stała się rzecz straszna, a jednak bardzo uradowało mnie, że Jerzy Afanasjew zrobił z tej książki piękne i urokliwe widowisko sceniczne. Bowiem to zapomniane dzieło jest warte przypomnienia, warte spopularyzowania w formie atrakcyjnej.

Rzecz się dokonała w Teatrze Wybrzeża i oto leży przede mną program i łza się w oku kręci... Oto czytam, że reżyserował to widowisko Rysiek Ronczewski — ileż to już lat, gdyśmy wędrowali na piwko po próbie w dawnym STS „Pstrąg"? Oto czytam, że autorem muzyki widowiska jest Andrzej Głowiński, popularny „Slim", studiujący w łódzkiej PWSM i mieszkający „na waleta" na dawnej Bystrzyckiej... Sami znajomi i tuwimowska książka jakże mi bliska i znajoma.

Na marginesie swej antologii napisał Tuwim, że w naszym krzykliwym życiu, w wyścigu zdarzeń, samochodów i ekspresów — wlecze się ten dziwaczny, a staroświecki dyliżans. Wiezie czułe wspomnienia i ciekawe nowiny ze starych kalendarzy, pożółkłych kronik, zakazanych ksiąg magicznych i miłosnych, o klejnotach i truciznach, klasztorach i szarlatanach, o niezwykłych zjawiskach natury...

Jest coś w atmosferze widowiska Afanasjewa, jego żony (scenografia) i szwagra Ronczewskiego — z atmosfery słynnego „Cyrku Tralabomba"... Nie tylko twórcy ci sami, nastrój także znajomy. I wcale nie żałuję, iż moja prywatna tajemnica zawodowa felietonisty stała się dzięki temu spektaklowi tajemnicą publiczną. Żałuję nawet, że nie trafiło to widowisko na łódzkie sceny, choć tyle jest powodów, dla których warto byłoby je w Łodzi wystawić. Bo to i Tuwim — łodzianin, i cała trójka autorów przedstawienia z tym miastem przez całe lata związana, i zabawa przednia, jakiej dawno na łódzkich scenach nie oglądaliśmy. A może warto o tym pomyśleć? Wszak spektakl to nie dewizowy!

Przemieszał Afanasjew w tej scenicznej potrawie tuwimowskie teksty i powiedzonka, dodał toasty, prasowe anonsy i paradoksy, dialogi i hasła, anegdotki i kurioza literackie, uzupełnił Kolbergiem i Staffem, Papuszą i Gomulickim — stworzył cudowny, żywiołowy klimat.

Nie da się opowiedzieć o czym jest ten spektakl. Jest on — ogólnie mówiąc — wędrówką po przełomie wieków. A że w czasie tej wędrówki wybuchamy śmiechem? Niech nam się z tego powodu zbytnio w głowach nie przewraca, ciekawe jak się z nas śmiać będą przyszłe pokolenia.

Póki co, posłuchajmy wywodu „Gazety Polskiej" z roku 1832: „Korzyści hemoroidów są niezaprzeczalne, są one bowiem środkiem natury, która sama się ratuje (...) Często bywają ochroną od obłąkania i melancholii (...) są wielkim ratunkiem od napadów hypokondrii i bólów wewnętrznych". Czyli, jak w dowcipie o najlepszym środku na pluskwy — „polubić je".

Albo, czy wiecie, że pewien gatunek maleńkich rybek hawajskich zwie się w tym języku humuhumunukunukuapuaa. Rybka ta jest o wiele mniejsza niż jej nazwa. Albo, czy wiecie, że trucizną, którą otruto Sokratesa, było ziółko zwane Xantippa domestica, czyli Babsztyl domowy, zwany również Megierą wiedźmowatą? Albo czy wiecie, że w roku 1886 ukazała się książka pt. „Socyalizm, jako rzeczywista przyczyna zwyrodnienia koni włościańskich i pośrednia przyczyna padania zbyt obfitych deszczów w połowie lata"?

Można by tak ciągnąć w nieskończoność te zmyślenia, brednie i wice, którymi karmili się nasi pradziadowie. Jak na nasz współczesny gust, były to potrawy niezwykle atrakcyjne, choć raczej pozbawione racjonalnych kalorii. Ale smakując je po latach odkrywamy w nich niecodzienne walory. Umiał je wydobyć Jerzy Afanasjew z trzech tomów tuwimowskich kuriozów, przyprawił mnogością innych dodatków i ten „Groch z kapustą" jest daniem wspaniałym.

Przepis jest w posiadaniu Afanasjewa — nic więc nie stoi na przeszkodzie, aby szefowie łódzkiej teatralnej kuchni zaserwowali publiczności owo danie, tak bogate w witaminę H. Czyli Humor.

JERZY WIDOK

E. S GARDNER

SZKARŁATNY POCAŁUNEK

Pochłonięta swym szczęściem Fay Allison nie zauważyła błysku nienawiści w oczach Anity Bonsal, z którą razem mieszkała.

— Kochałam go od dawna, lecz nie przypuszczałam, że Dan Grover mi się oświadczy. Był zawsze zimny i nieprzystępny, a tymczasem ukrywał naturę romantyczną i czułą.

— Czy już ustaliliście datę ślubu? — zapytała Anita.

— Pobierzemy się, jak tylko przyjedzie ciotka Luiza.

— Kiedy przyjeżdża?

— Jutro lub pojutrze. Posłałam jej moje zapasowe klucze, żeby mogła wejść, jeżeli nas nie będzie w domu.

Anita milczała, lecz Fay miała wielką ochotę na rozmowę.

— Wiesz, jaki jest Dan. Początkowo chodził z tobą i trochę ze mną, potem tylko ze mną. Ty masz takie powodzenie u wszystkich, że było ci to obojętne.

— Składam ci serdeczne życzenia, Fay. Wiesz, że jestem egoistką i cieszę się, że otrzymam po tobie mieszkanie z meblami. Ale teraz chodźmy pozmywać naczynia. Wieczorem muszę wyjść, a ty będziesz miała towarzystwo.

— Nie, Dan nie przyjdzie dziś, zostanie w klubie na kawalerskim wieczorze pożegnalnym.

Gdy uporządkowały już mieszkanie, Anita włożyła wieczorową suknię i narzuciła na ramiona futro. — Nie czekaj na mnie, Fay, wrócę późno.

— Zachowujesz się tajemniczo. Nie wiem, gdzie chodzisz i nie znam twych przyjaciół.

Anita wyszła szybko bez odpowiedzi. W korytarzu rozejrzała się wokoło i pobiegła piętro wyżej. Zatrzymała się przed drzwiami 702 i otworzyła je własnym kluczykiem.

Cyril Brown odłożył gazetę i przywitał się z Anitą. — Musiałem dziś długo czekać na ciebie. Co się stało?

— Fay opowiadała mi o swym małżeństwie z Danem.

— Zdaje się, że i ty byłaś w nim zakochana? Bałem się, że cię utracę. Pamiętaj, chcę związać się z tobą na zawsze. Jak tylko otrzymam rozwód...

— Ty i twój rozwód! — przerwała mu. — Ta sprawa ciągnie się w nieskończoność!

— To nie takie proste, jest wiele problemów związanych z własnością majątku, których nie załatwi się szybko. Ale porozmawiamy o tym przy kolacji. Zejdź teraz na dół i poczekaj na mnie w samochodzie. Przyjdę za pięć minut. Musimy być ostrożni, żeby nie dać okazji mojej żonie. Jeszcze tylko miesiąc, dopóki nie będzie podpisana przedrozwodowa umowa.

Auto Cyrila było luksusowe i wygodne, lecz po dziesięciu minutach czekania Anita zaczęła się niecierpliwić. Wróciła windą na siódme piętro i otworzyła drzwi 702...

Cyril Brown leżał na podłodze martwy. Obok niego leżała szklanka, trunek rozlał się na dywan. Widocznie ktoś odwiedził Browna, na czole odznaczał się czerwony ślad pocałunku. Ogarnęło ją przerażenie! Tyle dowodów jej obecności w tym mieszkaniu: nocne koszule, buty, pończochy, kapelusze, nawet szczoteczka do zębów.

Wyszła po cichu na korytarz, nikogo nie było. Wróciła do swego mieszkania. Fay siedziała przed telewizorem. — Cieszę się, że już wróciłaś, dlaczego tak szybko?

— Strasznie mnie głowa zabolała i kazałam się odwieźć do domu. Pójdziemy spać wcześniej, dobrze? Powinnaś jutro pięknie wyglądać. Może napijemy się czekolady?

Anita poszła do kuchni, wyjęła ze swej torebki proszki nasenne i rozpuściła je w wodzie. Gdy wróciła do saloniku z dwiema filiżankami czekolady, Fay była już w piżamie. Wypiły czekoladę, przyjaciółka zaczęła znów opowiadać o swych projektach, dopóki nie ogarnęła jej senność. Anita zaprowadziła ją do sypialni, a potem zaczęła rozmyślać nad sytuacją.

Tylko niektórzy przyjaciele Cyrila wiedzieli o jego „kawalerce", lecz nie znali Anity. Należało działać ostrożnie i sprytnie. Administracja domu zaopatrywała wszystkich mieszkańców w jednakowe naczynia... Fay wycierając dziś szklanki zostawiła na nich odciski palców. Policja powinna znaleźć w mieszkaniu Cyrila koszule Fay i naczynia z jej odciskami. Trzeba tak wszystko pogmatwać, aby policja myślała, że Fay była kochanką bogacza, lecz poznawszy młodego, interesującego mężczyznę, postanowiła zerwać z Cyrilem, a ten nie chciał się zgodzić. Fay otruła go, ale nie zdążyła wynieść swych rzeczy z mieszkania kochanka, ponieważ Anita wróciła wcześniej do domu.

Poczekała jeszcze trzy godziny i gdy wszystko się uciszyło, wzięła walizkę i zaczęła realizować swój plan. Na koniec wyczyściła klucz od mieszkania 702 i wsunęła go do torebki Fay. Rozkruszyła kilka proszków nasennych i wymieszała je z czekoladą, która została w słoiku. Jutro rano przyjdzie służąca, żeby posprzątać mieszkanie. Znajdzie jedną osobę nieżywą, a drugą nieprzytomną...

Ciotka Luiza Marlowe przyjechała o 1 w nocy bardzo zmęczona. Gdy winda zatrzymała się na szóstym piętrze, Luiza odszukała mieszkanie 604, otworzyła drzwi i zapaliła światło. — Przyjechałam, Fay! — oznajmiła głośno. Nikt się nie odezwał. Weszła do sypialni i zapaliła światło. Uderzył ją kolor twarzy Fay. Potrząsnęła ramionami dziewczyny, nie obudziła się. Zwróciła się do Anity i zaczęła ją także szarpać.

— Kto tam? — zapytała Anita sennym głosem.

— Jestem ciotką Fay. Co się stało?

— Czekolada... Piłyśmy czekoladę, miała dziwny smak... Chce mi się spać... — Głowa Anity opadła na poduszkę.

Luiza podbiegła do telefonu i nakręciła numer sekretarki adwokata Masona, Delli Street, którą znała od dawna.

— Pani Luizo, co pani tu robi o tej porze? — zdziwiła się sekretarka.

— Przyjechałam na ślub mojej siostrzenicy, Fay Allison. Jestem w jej mieszkaniu. Została uśpiona jakimś narkotykiem, tak samo jej koleżanka Anita. Widocznie ktoś chciał je otruć. Potrzebny mi dyskretny lekarz, bo Fay jutro wychodzi za mąż, boję się kompromitacji. Przyślij mi lekarza i Masona! Nasz adres: „Mandrake Arms", mieszkania 604, szóste piętro!...

Najpierw przybył lekarz, niedługo potem Della i Perry Mason. — Co mówi lekarz? — zapytał adwokat.

— Nie wiem, jeszcze je bada. Anita już przyszła do siebie, Fay jeszcze śpi. Gdybym przyjechała godzinę później, nic już nie dałoby się zrobić.

Mason rozglądał się po mieszkaniu. Zatrzymał się przed fotelem, leżały tam dwa płaszcze i dwie torebki.

— Która należy do Fay?

— Nie wiem — odpowiedziała Luiza, trzeba zajrzeć do środka.

— Proszę zbadać ich zawartość.

W tym momencie wszedł lekarz.

— Jak się czują? — zapytał Mason. — Czy mogę z nimi rozmawiać?

— Proszę zaczekać godzinkę, są bardzo słabe. Zrobię im teraz zastrzyk. Pani Luizo, poproszę o wrzątek.

Gdy oboje wyszli do kuchni, Della zbliżyła się do adwokata. — Tu coś jest, czego nie rozumiem — rzekła cicho. — W tym domu każde mieszkanie ma klucz z wyrytym numerem. Fay ma dwa klucze, jeden oznaczony liczbą 702.

— Chodźmy tam zajrzeć. — Mason wszedł do kuchni. — Pani Luizo, idziemy na korytarz, wrócimy za kilka minut.

Weszli na siódme piętro. Zadzwonili do mieszkania 702, słyszeli dzwonek, lecz nikt się nie odezwał. Mason otworzył drzwi kluczem Fay. Zapalone lampy oświetlały trupa na podłodze i szklankę, która wypadła z rąk zmarłego.

Drzwi mieszkania po przeciwległej stronie otworzyły się. Młoda kobieta w szlafroku krzyknęła ze złością: — Jak można dzwonić przez pięć minut po nocy, czy macie dobrze w głowie?

— Mamy — przerwał Mason i zamknął drzwi za sobą.

— Uwaga, Della, nie dotykajmy niczego.

— Kto to jest?

— Nie wiem, ale to jest na pewno ważne odkrycie. — Owinął rękę chusteczką, otworzył drzwi i cicho je zamknął. Wyszli na korytarz. W tej samej chwili na siódmym piętrze zatrzymała się winda. Jacyś trzej mężczyźni skierowali się w głąb korytarza. Della i Mason odsunęli się na bok. Trójka zatrzymała się przed drzwiami 702. Jeden z mężczyzn nacisnął guzik dzwonka. Prawie równocześnie naprzeciwko otworzyły się drzwi. Furia w szlafroku wrzasnęła: — Nie usnę dzisiaj, ciągle te hałasy! — Umilkła widząc trzy osoby.

— Przepraszam panią, zachowujemy się spokojnie — uśmiechnął się jeden z mężczyzn.

— Tak, lecz te osoby przed wami...

— Co, przyszły tu inne osoby? Więc nie przeszkadzajmy mu, jeżeli jest w towarzystwie. Chodźmy!...

Mason wepchnął Dellę do windy i zamknął drzwi. — Co teraz zrobimy? — zapytała sekretarka.

— Trzeba szybko zadzwonić do policji.

W hallu znaleźli kabinę telefoniczną. Detektyw zawiadomił policję, że znalazł trupa w mieszkaniu 702 w okolicznościach, które nasuwają podejrzenie, że zaszło samobójstwo. Był jeszcze w kabinie, gdy trójka nieznajomych mężczyzn wyszła z windy. Następnie zadzwonił do mieszkania 604. — Pani Luizo, proszę powiedzieć lekarzowi, żeby natychmiast zawiózł chore kobiety do kliniki. — Powiesił słuchawkę. Włożył klucz 702 do koperty, napisał adres swego biura, przylepił znaczek i wrzucił do skrzynki listowej.

Na ulicy trójka mężczyzn skierowała się do Buicka, gdy nadjechał wóz policyjny. Jeden z agentów podszedł do auta, odebrał kluczyki i kazał nieznajomym wejść do budynku. Stanęli obok Delli i Masona.

— Szukam człowieka, który telefonował o znalezieniu zwłok — rzekł porucznik.

— Ja telefonowałem. Jestem Perry Mason, adwokat. Trup znajduje się pod numerem 702.

— Trup! — krzyknął jeden z mężczyzn. — Przecież my go znamy, to Cyril Brown! Byliśmy tam, lecz nie weszliśmy do mieszkania, gdyż sąsiadka powiedziała, że ma gości.

— Chodźmy tam zajrzeć — rzekł porucznik Tragg.

Po zbadaniu zwłok i mieszkania porucznik zwrócił się do Masona. — Chciałbym wiedzieć, jak pan wszedł tutaj, drzwi były przecież zamknięte.

— Miałem klucz.

— Klucz! Proszę mi pokazać.

— Już go nie mam.

— Skąd pan go wziął?

— Może to się wyda nieprawdopodobne, ale znalazłem.

Dalszą rozmowę przerwało wejście policjanta. — Panie poruczniku, już wiem kto jest właścicielką rzeczy, które znaleźliśmy w szafie. Jest nią miss Fay Allison, zamieszkała w tym domu pod numerem 604. Na płaszczu była etykieta farbiarni, zadzwoniłem tam.

Fot. W. Parys

Dalszy ciąg nastąpi

Lewym okiem

DEMILITARYZACJA PROFESORÓW

Już od szeregu miesięcy toczy się na łamach „Życia Gospodarczego" pasjonująca dyskusja najtęższych naszych głów ekonomicznych na temat organizacji i zarządzania gospodarką narodową. Okazuje się, że prawie wszyscy uczestnicy dyskusji, profesorowie uczelni ekonomicznych, naukowcy o światowej sławie, zgodni są co do niektórych fundamentalnych zasad, przeciwnych zresztą w stosunku do tego, co się wciąż jeszcze w naszym małym zasięgu widzenia obserwuje. Myślę zwłaszcza o zasadzie decentralizacji zarządzania (oczywiście stymulowanej planem) o zasadzie rachunku ekonomicznego, o zasadzie bodźców materialnego zainteresowania. Ale nie o fundamenta oeconomica chodzić nam tutaj będzie — bo to nie na miarę felietoniku. Uwagę czytelnika śledzącego omawianą dyskusję, zwraca pewien pikantny szczegół — oto bardzo wielu dyskutantów sięga po porównania z dziedziny wojskowości, posługuje się terminologią wojenną, pojęciami takimi jak strategia, taktyka, rozkaz dyscyplina, cel taktyczny, mobilizacja i ofensywa. Jakkolwiek bez porównań i metafor nie można sobie wyobrazić żadnej argumentacji, jeśli ma dotrzeć do wyobraźni odbiorcy, to przecież wydaje się, że wojna jako układ odniesienia dla działalności gospodarczej kryje w sobie niejakie niebezpieczeństwa.

Przede wszystkim na wojnie liczy się wyłącznie cel. Cel zdobywa się za wszelką cenę i wszystkie środki, prowadzące do niego, są dobre. Zdobycie reduty, bronionej przez pluton żołnierzy jest zwycięstwem nawet wtedy, gdy przy zdobywaniu cztery kompanie legły pokotem. Tam nie ma absolutnie mowy o kosztach. Jeden tylko Osmańczyk w „Sprawach Polaków" sprecyzował pojęcie progu biologicznego, progu wysokości ofiary w ludziach poza którym zwycięstwo jest już tylko wersetem dla Historii. Poza tym nikt nie planuje operacji wojennych w oparciu o rachunek strat i zysków. Nie mówcie więc wiecznie o tym, że każda akcja gospodarcza to jak na froncie, że my jak żołnierze, dyrektor to pan major, wyższy dyrektor to pułkownik, kilkudziesięciu generałów w Warszawie, sztaby, odcinki i cele za wszelką cenę. Nie za wszelką! Za rozsądną, opłacalną cenę!

I nawet gdy ten najbliższy pan major (ekonomiczny), przejęty ułańską legendą o swej roli dowódczej, wydaje polecenie maleńkie w skali kraju, ale za duże dla pięciu przestraszonych referentów, kiedy krzyczy i wali pięścią w stół (to się zdarza o wiele częściej, niż myślicie): „zestawienie musi być gotowe za godzinę!" „Ja to muszę mieć! Za wszelką cenę!" — to nawet wtedy ta „wszelka cena" może być za duża i może z zestawienia zrobić ekonomiczną bzdurę. Bo to będzie cena dokładności, prawidłowości, rzetelności, sensu. To zestawienie będzie na czas, ale będzie bez sensu, bo zrobienie z sensem wymaga ceny innej: dwóch czy trzech dni.

„Nie ma rzeczy niewykonalnych, jak na wojnie, panie kolego: takie są polecenia i należy je wykonać!" — mawiają ekonomiczni pułkownicy.

Ale trochęśmy byli na wojnie i wiemy, że tam są niewykonalne zadania. Żołnierz, który takie zadanie otrzymuje, idzie i ginie. Bardzo proste. Ginie — i nikt nie roztrząsa, czy należało go tam posłać, czy rozkaz przełożonego był potrzebny. To są wszystko koszty wojny, których nikt nie liczy. Ekonomiści natomiast powinni liczyć koszty. Nie „jak na wojnie, panie kolego..."

Jeden z dyskutantów w „Życiu Gospodarczym" powiedział, że zarządzanie przemysłem ciągle przypomina organizację armii niemieckiej z pierwszej wojny światowej. W tym jest może więcej prawdy, niż przypuszczał ów mówca. W armii naradzają się osobno sztaby dywizji, osobno sztaby pułków, osobno sztaby armii. Na konferencji dyrektorów nie widzisz na lekarstwo naczelników wydziałów. Dwie nieprzemakalne sfery, dwie płaszczyzny działania, czasem zastraszająco niezbieżne. Takich sfer jest zresztą znacznie więcej, niż dwie. Stawiają swych podwładnych na baczność, stają na baczność przed przełożonymi.

W postawie na baczność nie myśli się dobrze. W ekonomice myślenie się przydaje, znacznie bardziej niż na wojnie. Panowie profesorowie — rzućcie choć słówko o konieczności demilitaryzacji atmosfery. Spocznij. Wolno myśleć.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1470. S-5.